MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 15. WARSZAWA, 27 MARCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

DROGA ODRODZENIA

Żadne większe święto z procesją nie odbywa się w Łowiczu bez sporej galerji cudzoziemców, pragnących przypatrzeć się barwnemu i bogatemu folklorowi polskiemu. Z tego stanowiska patrzymy na ubraną jak malowanie dziewczynę łowicką przeważnie i my; robimy nawet coś niecoś w tym celu, żeby zużytkować ten folklor w zdobnictwie ogólnem, do wytworzenia, odnowienia, czy wzbogacenia stylu narodowego. Mamy kilka pracowni, sklepów z artykułami przemysłu ludowego, a nawet w budżecie ministerstwa przemysłu i handlu figuruje (przynajmniej dawniej figurowała, nie widziałem ostatniego budżetu, więc nie wiem czy figuruje nadal) drobna sumka na popieranie tego przemysłu. Ten dotychczasowy, artystyczny i etnograficzny pogląd powinien się zmienić, a raczej uzupełnić i rozszerzyć: pięknie ubrana dziewczyna łowicka jest nie tylko przedstawicielką żywego folkloru, ale również przykładem daleko idącej samowystarczalności, bo przecież ten jej piękny strój, to w przeważnej części produkt jej pola, pracy jej własnych rąk. Jest ona przedstawicielką tradycji i umiejętności, które na szczęście jeszcze u nas nie zamarły, i które odpowiednio podsycone i pokierowane stać się mogą podstawą gospodarczego odrodzenia kraju.

Krach gospodarki wielkiego przemysłu, ilustrowany jaskrawo nietylko samobójstwem Kreugera, będącego przedstawicielem raczej spekulacyjnej odmiany tej gospodarki, lecz również i krwawemi zaburzeniami przed zamkniętemi bramami zakładów Forda, tego apostoła, którego doniedawna słuchały z otwartemi buziami rzesze wyznawców, olśnionych blaskiem złotych gór dolarowych, zmusza wszystkie kraje do szukania drogi wyjścia. Każdy probuje swoich, u nas jednak nie robi się nic, coby wykraczało poza łataninę, osłaniającą taktykę „przeczekania" i „przetrwania" kryzysu, w jakiejś, niczem zresztą nie popartej nadziei, że przecież kiedyś kryzys minie, czyli innemi słowy, że „samo się zrobi". Ratujemy deficytowe przedsiębiorstwa dopłatami z kieszeni publicznej, odsuwając doraźnie katastrofę, lecz nie robimy nic takiego, coby świadczyło o zamiarze przystosowania ustroju gospodarczego do zmienionych w całym świecie warunków. Pielęgnujemy wielki przemysł fabryczny, z nakładem olbrzymich na nasze stosunki środków, i traktujemy to, jako coś samo przez się zrozumiałego. W czasach inflacji dawaliśmy mu olbrzymie kredyty, które później spłacał groszami, dziś nakładamy na społeczeństwo ukryte podatki, wynoszące setki miljonów (poseł Rymar oblicza obciążenie konsumentów polskich na kampanje dumpingowe na 600 miljonów zł. rocznie; jest to obliczenie bardzo skromne) i wszystko napróżno. Niema ani jednej gałęzi przemysłu, o której możnaby powiedzieć, że te ciężkie ofiary zapewniły jej trwały byt a ludności pewny zarobek. Wszystko w dalszym ciągu się chwieje i zmiana kursu funta, czy innej obcej waluty, wyrzuca u nas na bruk nowe tysiące bezrobotnych. Nikt już nie marzy o rozszerzeniu wielkich warsztatów pracy, walka się toczy wyłącznie o utrzymanie przynajmniej tego, co jest. Przypuśćmy nawet, że walkę tę wygramy (na co się nie zanosi), to co będzie z naszym przyrostem ludności? Gdzie go podziejemy, gdy miasta nadal nie będą mogły pochłaniać nadmiaru ludności wiejskiej? Czy mamy skazywać się na samobójstwo i pozbywać się tej prężności wewnętrznej, która jedynie może nam zapewnić ostanie się między nieżyczliwymi sąsiadami? Problem ten staje przed nami coraz groźniejszy. Na szczęście trudności jego rozwiązania polegają właściwie głównie na niedocenianiu jego doniosłości. Z chwilą należytego przejęcia się wagą sprawy, możemy problem uprzemysłowienia wsi, nadania jednocześnie całej gospodarce narodowej pewnych, trwałych podstaw, rozwiązać stosunkowo łatwo.

Mało dziś już znajdzie się ludzi, którzy wierzyliby, że trapiąca świat choroba gospodarcza minie z dnia na dzień; wiemy już, że wybrnąć z tej nędzy będzie można dopiero po latach celowej i wytrwałej pracy na nowych drogach. Tymczasem u nas wysiłki w kierunku uprzemysłowienia wsi

mogą dać już po niewielu latach pokaźne rezultaty. Trzeba tylko sprawę postawić dostatecznie szeroko i zwrócić do niej rzeczywiście zbiorowy wysiłek zorganizowanych sił społecznych, nie zaś, jak to się tu i owdzie dzieje dotychczas, odosobnione, nie poparte należycie finansowo, często dyletanckie próby. Zacząć możemy od przemysłu włókienniczego, (drugiego, jak wiadomo, po spożywczym w gospodarstwie ludzkiem), którego przedstawicielką jest owa dziewczyna łowicka (znaleść ją zresztą można we wszystkich okolicach kraju) w barwnym wełniaku i pięknie wyhaftowanej, czy wyszywanej koszuli i fartuszku lnianym.

Ożywienie i rozszerzenie tego przemysłu domowego na wsi naszej, może przyjść stosunkowo, jak powiedziałem, bardzo łatwo, gdyż w całym kraju jest jeszcze zachowana umiejętność fachowa ludności w tych sprawach. Trzeba tylko stworzyć rynek zbytu, a to wobec ogrmnego zapotrzebowania na materjały włókiennicze wojska, kolei, szpitali i instytucyj opieki społecznej jest sprawą w ogromnej części tylko dobrej woli i odpowiedniej organizacji, na którą nas oczywiście doskonale stać. Dzisiejsze środki komunikacji, w połączeniu z kooperatywami wytwórców, mogą dać organizację zupełnie nowoczesną, a mimochodem wspomnijmy tu tylko, że podobny przemysł domowy nie da się na wypadek wojny sparaliżować np. zbombardowaniem Łodzi lub odcięciem zagłębia węglowego. Może tu komuś przyjść na myśl, że przecież to będzie przelewaniem z pustego w próżne, bo co zyskamy na wsi, to stracimy w rozmaitych polskich „Manchesterach“, zarzut ten nie może się jednak ostać. Najpierw chodzi tu o produkcję i przeróbkę własnego surowca, co wyjdzie na korzyść zarówno rolnictwa, które musi dążyć do rozmaitości kultur, jeżeli chce się utrzymać, — jak i bilansu handlowego. Następnie produkcja domowa np. tkanin lnianych da zajęcie bez porównania większej liczbie rąk, niż taka sama co do ilości produkcja fabryczna, przyczem jednak pozostanie racjonalną pod względem kalkulacji dla obu stron, wyrabiającej i konsumującej, tak z powodu znacznie wyższej wartości jakościowej produktu, jak też z powodu braku t. zw. kosztów generalnych, które dziś, w dobie prywatnych sekretarek, rujnują wielki przemysł.

Spożywca prywatny nie mógłby pewnie sobie dziś, pozwolić na produkt wprawdzie lepszy, lecz droższy, inaczej jest jednak z państwem i spożywcą zbiorowym, który może, a właściwie nawet musi, przynajmniej stopniowo przechodzić na produkty trwalsze, dające w wieloletnim rezultacie poważną oszczędność. Wydatki na puszczenie w ruch odpowiedniej organizacji byłyby dla państwa wprost minimalne, pokryłyby się może pośrednio w pewnej części nawet odrazu, dałyby bowiem zarobki części bezrobotnej inteligencji i półinteligencji; jak słychać, mamy w kraju pewne zapasy lnu, którego nie można sprzedać zagranicę, a na tkaniny się go nie przerabia, bo niema na nie zbytu.

Oczywiście byłoby to zbyt piękne, gdyby tak małym wysiłkiem myśli i inicjatywy dało się zwyciężyć trapiącą nas chorobę gospodarczą. Trzeba to traktować tylko jako początek, i to najłatwiejszy początek akcji, u której podstaw musi leżeć zasada, jedynie u nas racjonalna, małego warsztatu, jako głównego trzonu produkcji narodowej. Racjonalny rozwój przemysłu domowego na wsi, a rzemiosł w miastach i miasteczkach, uwarunkowany jest jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w znacznej mierze rozprowadzeniem po kraju taniej energji mechanicznej, t. zn. elektryfikacją kraju. Na to musimy się zdobyć jak najrychlej, a i tu przedewszystkiem trzeba tylko chcieć. Skąd wziąć środki? Sądzę, że znaleźć je można w ten sam sposób, jak się znalazły na Gdynię — w kasach przemysłów dumpingowanych. Elektryfikacja zajmie zresztą część fachowców wszelkich kategoryj, redukowanych dziś przez wielki przemysł, a doprowadzona do pewnego stadjum podniesie nietylko wieś, zarówno przemysłową jak i rolną, lecz ożywi również wegetujący dziś przemysł węglowy. Na przeszkodzie stoją właściwie głównie tylko przesądy: jeden, że nawrót do drobnego warsztatu jest ekonomicznie nie racjonalny, drugi, że tego rodzaju powrót jest społecznem wstecznictwem, powrotem do starego i osławionego chałupnictwa.

Pierwszy z tych zarzutów jest właśnie wyrazem konserwatyzmu, a nawet wstecznictwa, nie bierze bowiem pod uwagę, że rozwój nowoczesnej komunikacji i możliwość przenoszenia energji elektrycznej na nieograniczone przestrzenie z bardzo małemi stratami, następnie możliwość ekonomicznego jej podziału na drobne ułamki, pracujące jednak racjonalnie z punktu widzenia kalkulacji i w dodatku przy pomocy niedrogich motorów o nadzwyczaj prostej obsłudze — wszystko to sprawiło, że konieczny jeszcze niedawno wielki konglomerat fabryczny staje się dziś w coraz większej liczbie wypadków nieracjonalnym przeżytkiem, nie mogącym konkurować z drobną pracownią. Co do drugiego zarzutu, to oczywiście chałupnictwo miało i ma swe ciemne strony, związane głównie z tem, że chałupnik wyzyskiwany był i jest przez pośredników i przedsiębiorców. No, ale przecież nie darmo już oddawna wynaleziono spółdzielczość i po całym kraju mamy dość przykładów zdolności naszego ludu do jej stosowania. Co do hygieniczności wielkiego przemysłu, to może mówić o niej tylko ten, kto nie widział nigdy mieszkań robotniczych w zagłębiu węglowem, czy na łódzkich Bałutach, tych prawdziwych rozsadników fizycznego i moralnego zwyrodnienia. Dobrze jest przypomnieć sobie badania ks. Albrechta z Łodzi; od czasu tych okropnych oskarżeń nie wiele się na lepsze zmieniło.

Zasadniczo zaś trzeba rozstrzygnąć, co mamy uważać za postęp, ku czemu planowy wysiłek społeczeństwa skierować: czy drogę, którą obrał wielki kapitał zachodni i sowiety t. j. tworzenie wielkich trustów o charakterze monopoli, zatrudniających gromady proletarjuszy, wyzutych z wszelkiej własności i wszelkiej nadziei na samodzielniejsze bytowanie, rządzonych przez wszechwładną biurokrację rządową, czy przemysłową, czy też opierać nadzieję na społeczny postęp na masie drobnych, samodzielnych wytwórców i ten ustrój uważać za ideał, do którego dążyć należy. Nie wiadomo, w jakim stopniu ten ideał da się zrealizować, bo aczkolwiek dzisiaj możliwości wytwórcze małego warsztatu są bardzo wielkie i urozmaicone, to jednak zawsze w społeczeństwie będzie istniała pewna liczba osobników, mniej samodzielnie usposobionych, którym praca zależna, pod cudzą komendą będzie zawsze lepiej psychicznie odpowiadać, i ci będą stanowić materjału na pracowników w większych zakładach. Zasadniczo jednak mniemam, że w społeczeństwie chrześcijańskiem, katolickiem, które z natury swego wyznania cenić musi wysoko duchową swobodę i wolną ludzką wolę, a dla którego panowanie bankiera jest równie niedo-

puszczalne, jak fordowski ideał doprowadzenia pracownika do stanu „tresowanego goryla“ — nie może być wahań w odpowiedzi.

Trzeba sobie oczywiście zdawać sprawę, że walka o ten ideał jest częścią walki o supremację światopoglądu, opartego na poszanowaniu godności ludzkiej, godności i swobody indywidualnego człowieka. W pokoleniu, które nasiąknęło, często nawet mimowoli, naukami socjalistycznemi, walka ta jest przegrana. Gdy jednak widzę dziś tłumy młodzieży akademickiej, biorące udział w rekolekcjach Wielkanocnych (zjawisko dawniej nieznane), to myślę, że w tem pokoleniu ideał katolicki zwycięży i dlatego pozwoliłem sobie poddać go pod rozwagę właśnie w tygodniu Zmartwychwstania.

Wypadnie doń powrócić jeszcze nie raz.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

IRLANDJA

JEŚLI Wielka Brytanja, odcięta od kontynentu kanałem morskim, rozwinęła liczne cechy „wyspiarskiej“, izolowanej cywilizacji, to tembardziej „wyspiarska“ w stosunku do Europy może zdawać się, dzięki swemu położeniu, Irlandja. To już wyspa za wyspą. Wiadomość, czy myśl z Europy pospolicie dociera tam przez Anglję: i naturalną rzeczą będzie, jeśli postawa irlandzka wobec nowej wieści będzie przedewszystkiem reakcją na reakcję angielską. Irlandja, ten najdalszy na tej szerokości geograficznej zachód Europy, a ze swej tradycji historycznej nie odbiorca tylko, ale znakomity twórca i roznosiciel cywilizacji zachodnio - europejskiej, odwieczny i czcigodny członek rodziny narodów europejskich, dziś pod wielu względami, zwłaszcza nazewnątrz, nosi cechy szczególne prowincji angielskiej.

Z architektury swej Dublin jest miastem (dla oka przygodnego przybysza) niemal całkowicie angielskiem. Co nawet uderza, to większa niż zazwyczaj liczba pomników, upamiętniających różnych zasłużonych Anglji mężów, o ściśle lokalnej tylko sławie. Niektóre dzielnice Dublina, jak np. okolica Merrion Square, są to prześliczne całości architektoniczne, bardziej stylowe, niż wszystko, co w tym zakresie Londyn może pokazać: ale styl ten, to styl architektury miejskiej Anglji XVIII wieku. Znowuż najbardziej zabytkowa w stolicy Irlandji świątynia — to katedra pod wezwaniem św. Patryka, — dziś kościół anglikański.

Głębokość, na jaką przeniknął wpływ cywilizacji najeźdźców, uprzytomnia Polakowi, że odrodzona Irlandja pasuje się z problemami, których Polska na swej nowej drodze niepodległego bytu nie spotyka. Nierealna dla nas jest kwestja przywrócenia polszczyźnie znaczenia mowy panującej, potocznej; podobny problem nie powstał i niebardzo nawet moglibyśmy sobie coś podobnego wyobrazić. Dla Irlandji jest to zagadnienie nader absorbujące, a nad wyraz trudne do rozwiązania. — Polityka zaborców nie stworzyła na terytorjum Polski nowej kwestji religijnej, w szczególności nie wytworzyła rozłamu religijnego w masie inteligencji. W Irlandji dosyć znaczna część warstwy oświeconej, nawet patrjotów irlandzkich, wychowana została w kulcie protestanckim; a kolonizacja i ucisk sprawiły, że na północy obszar wyspy, składający się z sześciu hrabstw, uległ protestantyzacji niemal całkowitej, i silniej od samej Anglji pała nienawiścią do katolicyzmu. W Belfaście niejednokrotnie czytać można ogłoszenia „pokój do wynajęcia: reflektanci katolicy wyłączeni“. Antagonizmowi religijnemu w Północnej Irlandji odpowiada i polityczny, tak że te sześć hrabstw protestanckich nie zostało objętych obecnemi granicami Wolnego Państwa Irlandzkiego. W rezultacie Irlandja jest politycznie i geograficznie niekompletna, a problem jej przyszłego zjednoczenia stanowi największe i najpoważniejsze zagadnienie, przed jakiem stawia polityków irlandzkich doba dzisiejsza. Na znaczkach pocztowych Wolnego Państwa granica polityczna między Irlandją Północną a Południową jest zignorowana: rysunek przedstawia Irlandję już zjednoczoną. Do tego, żeby stało się to rzeczywistością, jest jeszcze dość daleko. Już dziś jednak, jak o tem niżej wspomnimy, choć drogi bezpośrednio wiodącej do celu nikt wskazać nie umie, z uwagi na cel powyższy dla polityki irlandzkiej wynikają pewne, dosyć narzucające się wskazania. I historja odrodzenia Wolnego Państwa Irlandzkiego zupełnie inna jest, niż historja naszego zmartwychwstania. W przeciwieństwie do nas, Irlandja nic nie zawdzięcza zwycięstwu państw koalicji w Wielkiej Wojnie. W dobie, gdy konferencja pokojowa w Paryżu ogłaszała samostanowienie o sobie narodów, Irlandja wchodziła w tragiczny okres swej najnowszej historji, w którym, rzec można, byt swój postawiła na kartę.

W czasie wielkiej wojny, to prawda, na froncie walczyło 60.000 ochotników irlandzkich z pośród lojalnej w stosunku do Anglji części społeczeństwa. Pożytku nie było stąd żadnego, gdyż, jak to opowiada Churchill w czwartym tomie swojej historji wielkiej wojny, drugie sześćdziesiąt tysięcy wojsk angielskich musiało trzymać w ryzie czekający tylko na sposobność do powstania naród. Po wojnie wybuchnęła ze wzmożoną zajadłością walka między siłami angielskiemi, a tajnemi siłami Irlandczyków; walka, której jednym z epizodów była słynna akcja „pacyfikacyjna“ specjalnych oddziałów policji „czarno-bronzowej“. Samowolę gwałtu policyjnego przyjęto, jako uświęconą odpowiedź (tytułem represaljów) na gwałty powstańcze. I ta metoda, najdalsza, przyzna każdy, od ducha liberalnego, nie dała oczekiwanego rezultatu. Anglicy gotowi byli dalej pójść w represjach i zastosować nadzór policyjny w niewidzianych nigdy rozmiarach: uniemożliwić akcję powstańczą choćby przez sprawdzanie ruchów większości jednostek w dwumiljonowem przeszło społeczeństwie. Byłoby to trudne i kosztowne, ale możliwe. Churchill, podówczas członek gabinetu angielskiego, zajmująco opowiada o powyższych projektach, rozważanych wtedy w łonie rządu, znakomicie uprzytomniając, na co gotów się ważyć liberalny Anglik, gdy byt swojej ojczyzny wydaje mu się zagrożony. Lecz właśnie w wyniku powyższych krytycznych narad górę wzięły głosy ugodowe. Zdano sobie sprawę z tego, że nawet niepodległa Irlandja nie może być dla Anglji poważnem niebezpieczeństwem, gdy układ sił tak dalece zmienił się na niekorzyść podbitej wyspy, że dziś przedstawia się, jak czterdzieści pięć miljonów do 3.000.000. Zupełnie inaczej wyglądało to

jeszcze sto kilkadziesiąt lat temu, kiedy Anglja liczyła dwanaście miljonów głów, Irlandja — osiem. Z obawy o bezpieczeństwo rodziła się polityka bezwzględnego ucisku, lecz w r. 1920, w warunkach zmienionych tak dalece, uznana została przez członków koalicyjnego gabinetu Lloyda George'a, zarówno konserwatystów, jak liberałów, za anachronizm i postanowiono spróbować eksperymentu. Nie licząc się zupełnie ze względami formalnemi, podjęto z przywódcami partyzantów rokowania, które ostatecznie doprowadziły do słynnego „traktatu" anglo-irlandzkiego i ukonstytuowania się Wolnego Państwa Irlandzkiego w r. 1922, na tych samych zasadach, które są podstawą odrębnego bytu prawnego Kanady. Irlandja zorganizowała się, jako jednostka międzynarodowo-prawna o ustroju „dominjalnym", wchodząca w skład imperjum brytyjskiego i wraz z dominjami mająca w następstwie odbywać tak szybki w ostatniem dziesięcioleciu proces formalnego nawet usamodzielnienia się politycznego.

Nim na tę drogę weszła, Arthur Griffith i Michał Collins, główni sygnatarjusze „traktatu" angielsko-irlandzkiego z ramienia powstańczego *Sinn-Fein*, zginęli od kul dawnych towarzyszów broni. Śmierć ich, jak również podobny koniec wybitnego ministra późniejszego rządu irlandzkiego, Kevina O'Higginsa, upamiętnia dziś wielki krzyż celtycki, stojący przed gmachem parlamentu w Dublinie. Jakby nie dosyć przyszłość swą krwią nakarmiła, Irlandja, dziwny pelikan, aż do powstania w charakterze „Wolnego Państwa" w r. 1922, przez dziesięć miesięcy broczyła jeszcze w szarpaninie wojny domowej. Pamięć różnych tragicznych z niej epizodów po dziś dzień żywa jest jeszcze w pokoleniu młodej inteligencji irlandzkiej.

W przewlekłych owych zmaganiach zwyciężyła zdecydowanie partja „ugodowa", która następnie przez dziesięć lat bez przerwy (aż do ostatnich wyborów, o których przed paru tygodniami czytaliśmy w gazetach) — rządziła Irlandją, zwana w języku irlandzkim (gaelickim) — *Cumann na nGaedheal* (czytaj: Komon-na-nejl). Partja z pewnością ani trochę nie mniej patrjotyczna, niż opozycyjne (a dziś z De Valerą przychodzące do władzy) stronnictwo nieprzejednanych, znane jako *Fianna Fail* (czytaj: Fiena Foil), — „Armja Przeznaczenia". I jedni i drudzy wyznają i miłują ideał Irlandji całkowicie niepodległej, żadnemi, formalnemi nawet więzami niezłączonej z Anglją. Uczestnictwo w „zrzeszeniu narodów, zwanem Imperjum Brytyjskiem", jest im wstrętne. Jednakże żywioły umiarkowane, które przez dziesięć lat stały u steru rządów, pierwsze zdały sobie sprawę z tego, że uczestnictwo w tem zrzeszeniu, i przyjęcie nielicznych zresztą, wypływających z tego stosunku, specjalnych praw i obowiązków, jest według wszelkiego prawdopodobieństwa najbardziej skutecznym krokiem ku zupełnej emancypacji. Gdy tradycyjna organizacja imperjum brytyjskiego nader szybko się rozkłada (a w rozkład ten w Irlandji chętnie się wierzy), nie byłoby przewidujące ryzykować zbyt wiele w doraźnych tarciach między Irlandją, a jej dawną metropolją. Z drugiej strony partja nieprzejednanych właśnie zdobywała sobie siłę i popularność niecierpliwością: przy namiętnej wrogości mas irlandzkich do niedawnych jeszcze, a odwiecznych ciemiężycieli — wrogości której trudno się dziwić, — hasła natychmiastowego starcia w nicość nienawistnej symboliki związku dominjalnego z Anglją zdobyły sobie ostatecznie przewagę.

W ostatnich wyborach, przeprowadzonych bez nacisku ze strony administracji, mimo, iż umiarkowany rząd Cosgrave'a świadom był grożącego mu niebezpieczeństwa, „republikanie" z pod znaku De Valery weszli do parlamentu w zastępie 72 posłów, a wraz z 7 posłami stronnictw „Pracy" rozporządzają 79 głosami — i bezwzględną większością. Przeciwko nim, jako główna opozycja, staje rządzące stronnictwo Cosgrave'a (56 posłów), poparte przez grupy „Niezależnych" i „Farmerów" (razem 17-tu). Europa, tak mało interesująca się sprawami irlandzkiemi, nagle zobaczyła jako premjera rządu dublińskiego — De Valerę: — i w oczekiwaniu dramatycznego konfliktu z Anglją, zwróciła uwagę na ten odległy teatr zdarzeń.

Zaciekawienie obudziła zwłaszcza deklaracja De Valery, w której niepodległościowiec irlandzki zapowiadał szereg antyangielskich posunięć ze strony nowego rządu. W rzeczywistości, biorąc pod uwagę położenie, deklarację tę uznać należy za program stosunkowo ostrożny i nie przysparzający narazie Anglji żadnych poważnych kłopotów. Irlandja, pamiętać to należy, ma stanowisko brytyjskiego dominjum: a to dzisiaj oznacza niepodległość nie fikcyjną, lecz prawdziwą. Dominjum w gruncie rzeczy nie jest skrępowane żadnemi przepisami prawa konstytucyjnego, t. j. państwowego, w stosunku do „metropolji". W istocie związane jest tylko temi węzłami, jakiemi skrępowane są w stosunkach wzajemnych jednostki niepodległe: państwa. Są to więc przedewszystkiem obowiązki, wynikające z umów dwustronnych, czyli traktatów. Sprawa napozór nie rysuje się z punktu widzenia prawnego tak przejrzyście. Kanada np. nie może zmienić konstytucji bez zgody parlamentu westminsterskiego. Ale nie ulega dziś wątpliwości, że aprobata powyższa jest tylko czczą formalnością; że z wszelką niemal pewnością parlament westminsterski przystałby nawet na zgłoszony przez Kanadę wniosek o wystąpienie Kanady z Imperjum Brytyjskiego. Dominja w praktyce mają więc nawet prawo secesji, jeśli chcą z niego skorzystać. — Otóż układ warunków jest taki, że Irlandja, pod rządem nieprzejednanego De Valery, bynajmniej nie rości pretensji do skorzystania z tego prawa, przeciwnie, jak to wskazuje wygłoszone w parlamencie angielskim przemówienie Neville'a Chamberlaina, groźba wyeliminowania Irlandji poza ramy organizacyjne Imperjum jest w chwili obecnej atutem w rękach rządu londyńskiego. Padają, w prasie tylko dotąd wyraźnie sformułowane ostrzeżenia, że w razie usunięcia z konstytucji paragrafu o przysiędze poselskiej na wierność Koronie angielskiej, na irlandzkie produkty rolnicze nałożone zostanie cło takie, jak na produkty, przywożone z zagranicy; czyli, innemi słowy, Irlandja miałaby utracić dobrodziejstwo zniżki celnej, z której już korzystają, a w niedalekiej przyszłości w jeszcze większym stopniu korzystać mają — dominja. De Valera, jak widać ze wszystkich jego oświadczeń, wcale nie chce narazić swego kraju na utratę powyższej korzyści gospodarczej. Irlandja o wiele więcej wywozi do Anglji, niż z niej przywozi. Groźba zatamowania przywozu irlandzkiego ma przeto w uszach irlandzkich oddźwięk bardzo serjo: utrata rynku angielskiego niepomiernie zaostrzyłaby kryzys ekonomiczny, i to bez widoków w jakiejś rychłej przyszłości na poprawę. Od kryzysu Irlandja, mniej uprzemysłowiona od Anglji, mniej też ucierpiała: cios w interesy rolnictwa ugodziłby ją w punkt najboleśniejszy.

Jeśli tak sprawa przysięgi, jak też niektóre inne punkty programu De Valery (jak np. sprawa obowiązku uiszczania trzech miljonów funtów rocznie, tytułem spłaty pożyczki, zaciągniętej przez Wolne Państwo w Anglji na wykup gruntów), odzywają się tak głośnem echem w opinji angielskiej to z pewnością nie ze względu na ich istotną wagę. Gdzież znaleźć podobieństwo między ustępliwością angielską wobec Niemców, a nieżyczliwem przyjęciem propozycyj irlandzkich? Gdy Niemcy zapowiadają, że płacić nie będą odszkodowań, prasa angielska, niemal cała, przyjmuje to szmerem uznania; gdy Irlandja kwestjonuje raty trzech miljonów, padają ostre słowa o kontrahencie bez honoru i t. p. I nie interes narodowy odgrywa tu główną rolę; bo jak wspomnieliśmy, w opinji utrwaliło się przekonanie, że Irlandja dla Anglji niebezpieczeństwem serjo być nie może. W grę wchodzi coś innego. Lojalny, bezstronny, rycerski dla przeciwnika *gentleman* angielski z trudem zachowuje te same cnoty w postępowaniu z Irlandczykiem. Wychowanie dziejowe do tego go nie zaprawiło. Lojalnym i rycerskim jest tam, gdzie do tego się przyzwyczaił; a właśnie w konkretnym wypadku stosunków z Irlandczykiem cnót tych specjalnie nie kultywował. Mówiąc, czy pisząc o Irlandji, mimowoli a nader łacno staje się ubliżający i niesprawiedliwy. O Irlandczyku zwykł myśleć jako o kimś niższym, wobec kogo nie obowiązuje zwykły kodeks honorowy. Warto zwrócić uwagę, jak np. w swej książce p. t. „Anglja" mówi o Irlandczykach znany publicysta angielski, Dean Inge. Nawet Amerykanie, entuzjazmujący się Anglją, dzielili te uprzedzenia: „*An inferior or misplaced race*" — określił Irlandczyków Emerson.

Otóż przy regulowaniu stosunków z Irlandją, spokojny ton i delikatność wyrażeń, tak doskonale wyrobione przez mocną, a łagodną cywilizację angielską, ustępują łatwo miejsca manierom odmiennym. W szczególności stronnictwo konserwatywne, dziś będące przy władzy, tradycyjnie reprezentuje w stosunku do Irlandji manierę ostrego i lekceważącego tonu. W rozwoju zdarzeń, będących następstwem ostatnich wyborów w Irlandji, może to zaprowadzić dalej, niżby to normalnie uzasadniała przysłowiowa trzeźwość angielska.

Nowy rząd irlandzki, jak wyżej powiedzieliśmy, najwidoczniej pragnie uniknąć zatargu ekonomicznego z Anglją, zarazem efektownie usuwając te symbole nienawistnego związku z dawniejszą ciemiężycielką, które zlikwidować może bez wyraźnego pogwałcenia traktatu. Ponadto, gdy mowa o stosunku do Anglji, w polityce każdego rządu irlandzkiego odgrywać musi pewną rolę także wzgląd na sześć hrabstw północnych, dziś odciętych granicą polityczną, i zazdrośnie strzegących swej odrębności. W kołach młodej inteligencji irlandzkiej, będącej główną siłą ruchu *Fianna Fail*, o ile można sądzić, dojrzało zupełnie wyraźnie przekonanie, że prowincji tej nie można będzie skutecznie przyłączyć siłą; że potrzebny jest wzrost zaufania między główną masą Irlandczyków z Południa, a braćmi z Północy; że zaufanie to i ciążenie wzajemne najpewniej ustalać się może przy ciągłości rozwoju stosunków w Wolnem Państwie, i ewolucyjnym, obliczalnym ich charakterze. Ponadto odnosi się wrażenie, że nawet jeśli chodzi o stosunki wewnętrzne w Wolnem Państwie, Irlandja w ciągu ostatnich lat dziesięciu, w przeciwieństwie do Polski, ogromnie utwierdziła poczucie moralnej jedności narodowej, i że okres wojen domowych, wedle wszelkich znamion, ma za sobą.

WITOLD CHWALEWIK

CZY ISTOTNIE POLITYKA „KONSTRUKTYWNA"?

UKAZAŁA się niedawno broszura St. Łosia, zatytułowana „O konstruktywną politykę na Rusi Czerwonej". (Warszawa 1932, str. 44, F. Hoesick). Jest to rzecz o tyle godna uwagi, że prawdopodobnie reprezentuje zapatrywania pewnych kół konserwatywnych, bodaj wielokrotnie w nich dyskutowane.

Najbardziej sensacyjną stroną broszury jest ostra krytyka polityki obozu rządowego na terenie Małopolski Wschodniej. Istotnego znaczenia tej krytyki nie osłabia nawet takie zdanie, jak to, że autor nie pisze „dla tych, którzy będąc poza odpowiedzialnością za bieg spraw w państwie, zajęci są poszukiwaniem pocisków", skierowanych w stronę rządu.

Wrażenie krytyki osłabić mają także ukłony w stronę naszej dyplomacji, a nawet administracji. Do arsenału zabezpieczenia się przed niełaską obozu rządowego należy też zapewne zdanie, wypowiedziane przy sposobności krytyki ustosunkowania się rządu do sabotażów. Brzmi ono: „Nie rzucam tedy kamieniem, lecz wyrażam życzenie, by na przyszłość ukraińscy podpalacze nie mieli miłe podniecającego złudzenia, że walczą z narodem polskim, z państwem polskim, ba! — nawet z samym Marszałkiem Piłsudskim", który „wydał rozkaz stłumienia sabotażu".

Autor broszury stara się przekonać czytelników, że polska polityka w stosunku do Ukraińców powinna być „konstruktywna". Konstruktywność, najogólniej pojęta, ma polegać na tem, żeby Polska miała inicjatywę w sprawach wschodniej Małopolski a nie Sowiety czy Niemcy, które to czynniki działają dziś za parawanem ruchu ukraińskiego. Polska powinna stwarzać sytuacje polityczne, a nie Ukraińcy. Odnosi się autor krytycznie do pacyfikacji, oraz do polityki szkolnej, forytującej szkolnictwo utrakwistyczne na terenie województw południowo-wschodnich. Również krytykuje politykę gospodarczą na tym terenie. Twierdzi, że rząd udzielił polskiej części ludności za dużych pożyczek w stosunku do jej możliwości finansowych, podcinając w ten sposób możność istnienia tych placówek. Rusini zaś, nie mogąc liczyć na pożyczki i zasiłki rządowe, zapożyczali się za granicą, uzależniając się od niej politycznie. Krytykuje autor ten stan rzeczy, że Rusinów za mało zatrudnia się w administracji państwowej, używając w niej tylko Polaków. Przez to ukraińska inteligencja rzuciła się do życia gospodarczego, a polska „zmandarynizowała się". Na końcu broszury wysuwa autor tezy i postulaty swej polityki „konstruktywnej". Oto ich streszczenie:

1. Przyjąć jako punkt wyjścia polityki polskiej, że na terenie Rusi Czerwonej podział ludności słowiańskiej na dwie narodowości jest faktem dokonanym i trwałym.

2. Z ludem ruskim można się porozumieć tylko przez ruską inteligencję.

3. Należy zaprzestać polonizowania ludności ruskiej przy pomocy nacisku państwowego.

4. Należy ukraiński element powiązać więcej z państwem przez zbiurokratyzowanie go, polski zaś uchronić od zbytniego zbiurokratyzowania.

5. Zrewidować politykę kredytową, kierując się w niej zasadą gospodarczej celowości. Wyeliminować z polityki gospodarczej moment filologiczny.

6. Zredukować ilość proletarjatu inteligentnego w całej Polsce, określić sprawiedliwie kontygent inteligencji ruskiej, której należy udostępnić normalną karjerę życiową.

7. Należy zrezygnować ze wspólnych instytucyj polsko-ukraińskich.

8. Nie zawierać z Rusinami żadnej ugody. „Należy dążyć nie do tworzenia tekstów, lecz do stwarzania sytuacyj, któreby utrudniały walkę narodowościową, a ułatwiały powstawanie ugodowego po obu stronach natroju".

Autor dotknął, jak widzimy, jednej najważniejszych kwestyj w Polsce. Trzeba też zgóry podkreślić, że broszura nie jest pozbawiona pewnych wartości. Jest jednakże szereg momentów, co do których Łoś ulega złudzeniom. Przyjrzyjmy się im po kolei. Podstawowem złudzeniem autora broszury jest jego teza pierwsza. Jest to owo pospolite i obiegowe przekonanie, narzucone nam przez ukraińską partję, że ruska część ludności, tak chętnie dziś ukraińską zwana, jest czemś stałem i na zawsze utrwalonem. Autor radzi to wziąć za podstawą naszych politycznych poczynań. Tymczasem tak nie jest. Jest to tylko na razie zbożny postulat ukraińskich organizacyj, które bezsprzecznie mają pomiędzy ludnością, mówiącą po rusku i nie przyznającą się do polskości, największe wpływy. Istnieje jednak pozatem antyukraińsko nastawiony ruch staroruski, zgnieciony co prawda w czasie wojny przez Austrję, ale tak zdecydowany i uporczywy, że jego wyznawcy przechodzą na prawosławie, byle się nie dać zukrainizować. Ale to jeszcze nie wszystko. Jest przecie bardzo duża masa ludności, dawniej polskiej, a tylko zruszczonej przez kościół greckokatolicki. Tradycje polskości żyją pomiędzy ludem, mówiącym po rusku na omawianym terenie. Element ten, jakkolwiek liczny, jest jednakże niezorganizowany, ale gotowy w razie uspokojenia się stosunków „przejść na polskie". Zgoda na tezę Łosia oddałaby wszystkie niezdecydowane żywioły pod komendę partji ukraińskiej. Słowem rozwój stosunków narodowościowych na omawianym terenie nie jest zakończony. I dlatego Polska musi tam zapewnić, unikając polityki eksterminacyjnej, możność rozwoju nietylko Polakom, ale także zabezpieczyć przed terrorem ukraińskim i te grupy ruskie, które nie chcą iść pod komendę ukrainizmu.

Bardzo też poważnie należałoby przedyskutować suggestje Łosia co do większego dopuszczenia inteligencji ruskiej do urzędów państwowych. Najpierw nie jest jej znowu tak mało i obecnie. Pozatem zatrudnienie całej dotychczas wyprodukowanej inteligencji ukraińskiej jest wogóle niemożliwe. Przecież była produkowana przy dużem poparciu Austrji, nie tylko w celu wyparcia inteligencji polskiej z byłej Galicji, ale też w celu eksportu za Zbrucz, na Ukrainę. Eksport ten miał się dokonać w razie zajęcia Ukrainy przez Austrję. Nie możemy przeto obecnie płacić za austrjacką przegraną wyrzucaniem na bruk urzędników Polaków. W każdym razie nie można powiększać zbytnio ilości urzędników Rusinów dopóty, dopóki nastroje inteligencji ruskiej są tak antypolskie jak obecnie. Należy się przecie liczyć z tem, ża nastroje powyższe mimo wszystko zmienią się na lepsze. Istnienie państwa polskiego jednak oddziałuje. Wszak przeżyliśmy już okres, gdy Rusini masowo usuwali się od urzędów, nie chcieli iść do wojska, nie brali udziału w wyborach do sejmu, bojkotowali polskie uniwersytety i t. p. Dziś to wszystko należy do historji, a Rusini weszli w tryby życia Polski. pieszyć się z tem biurokratyzowaniem inteligencji ruskiej w każdym razie nie należy. Co więcej, właśnie dziś istnieje uzasadniona obawa, że ukraińskie ośrodki wywierają na Polskę tylko w tym celu, aby wymusić jakiś kontyngent urzędników Rusinów. Takby to wyglądało w świetle odgłosów, jakie zbudziła broszura Łosia, którą chwali nie tylko ks. biskup Chomyszyn, ale i najbardziej nacjonalistyczne organy. Gdyby zaś tak było, to „inicjatywę" mieliby ukraińcy, zaś autor broszury wypełniałby tylko ich rozkazy. A już stanowczo należałoby się sprzeciwić wszelkim kontyngentowaniom inteligencji ruskiej. Zagadnienie to, dziś rzeczywiście zapalne, rozstrzygnie życie. Już dziś chłopi ruscy przestali posyłać masowo do szkół średnich swoje dzieci, zrozumiawszy złe skutki nadprodukcji inteligencji, organizowanej z zachęty austrjackiej. Życie dużo może. Kiedy się zaś mówi o tych rzeczach, to nie należy zapominać, ile kłopotu przyniosła nam kiedyś starszyzna kozacka. Myślę też, że z ludem ruskim można się będzie porozumieć także bez pośrednictwa ruskiej inteligencji. Jeśli to robią na wielką skalę Żydzi, to możemy próbować współzawodniczyć z nimi także i my.

Oprócz powyższych zastrzeżeń, chcę jeszcze zwrócić uwagę na jeden, ważny bardzo moment. Myślę, że nie daleko zajdzie polityka, która uważa swego przeciwnika bądź to wogóle za głupca, bądź tylko za mniej mądrego od siebie. A tak autor polityków ukraińskich traktuje. Autor twierdzi bowiem w broszurze, że w r. 1923 polityka zagraniczna Skrzyńskiego była w stosunku do ruskiego zagadnienia konstruktywa, gdyż inicjatywa była w polskich rękach, a „t. zw. Rząd Zachodnio-Ukraińskiej Republiki z dr. Petruszewiczem na czele — oczywiście bezwiednie — wykonywał z precyzją pruskiego grenadjera wszelkie rozkazy Warszawy". Szczegółowiej wyjaśnia autor ten ustęp w czasopiśmie „Nasza Przyszłość" z lutego b. r. (cytuję na podstawie artykułu lwowskiego „Diła"). Okazuje się z artykułu tam pomieszczonego, że autor broszury w r. 1921 przygotowywał w min. spraw zagranicznych sprawę uznaniu przez Radę Ambasadorów przynależności Wschodniej Małopolski do Polski. Zabrał się zaś do rzeczy w ten sposób, że zaczął przez pośredników rokowania z dr. Petruszewiczem, proponując mu ugodę na podstawie autonomji czterech województw. Petruszewicz zaś miał oświadczyć, że on jest w tej sprawie niekompetentny, gdyż suwerenne prawo do Małopolski Wschodniej mają państwa Zwycięskie. Ta odpowiedź posłużyła polskiej dyplomacji do zwycięstwa w roku 1923.

Myślę, że w danych warunkach Petruszewicz inaczej odpowiedzieć nie mógł. Kierowały tu nim nie rozkazy Warszawy, ale konsekwencja jego politycznej i wojskowej akcji. Sądząc *ex post*, był to może nawet i błąd, ale daleko tu jeszcze do pruskiego grenajera. Zapewne, że ta odpowiedź Petruszewicza w pewnym stopniu, bardzo zresztą nikłym, przyczyniła się do wygranej naszej dyplomacji. Ale

sytuację dla Polski korzystną w całej tej sprawie stworzyły zupełnie inne fakty. Najpierw wojska polskie zajęły przedtem wschodnią Małopolskę. Zajęły nie jako wojska najezdnicze, ale, biorąc pod uwagę obronę Lwowa, jako wojska powstańcze. Myślę też, że sytuację wytworzyły przedtem jeszcze takie akcje, jak np. akcja budowy kościołów i kaplic, prowadzona przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego. Przecież te pięćset kościołów i kaplic zaważyło napewno więcej, aniżeli pociągnięcie Łosia. A cała akcja polityczna, oświatowa i gospodarcza, jaką prowadził tam obóz wszechpolski? Jeśli zaś mowa o sytuacjach, to myślę, że autor niema słuszności, mówiąc o tem, że w ostatnich latach wytwarzali sytuacje na naszym południowym wschodzie jedynie Ukraińcy, względnie, jak autor twierdzi, Sowiety i Niemcy. Nie trzeba zapominać, że te sytuacje wytwarza np. obóz rządowy. Czyż akcja sabotażowa byłaby do pomyślenia, gdyby rząd nie zwalczał „nacjonalizmu polskiego", gdyby obóz rządowy, chcąc opanować całokształt życia polskiego, nie rozbił i nie osłabił wszystkich instytucyj polskich?

Na końcu broszury pomieszcza autor zebrane w dziesięciu punktach „postulaty ukraińskiej racji stanu". W postulatach tych stara się autor ukraińców przekonać, że powinni być w stosunku do Polski lojalni, nie powinni dążyć do połączenia ziemi czerwonoruskiej z Ukrainą sowiecką. Powinni to zaś robić w tym celu, aby zapewniwszy sobie w Polsce wszechstronny rozwój, mogli kiedyś przyjść ukraińcom sowieckim z konstruktywną pomocą. Stanie się to wtedy, kiedy załamie się na Ukrainie eksperyment komunistyczny. Autor jest przytem niesłychanie liberalny i szczodry. Pisze bowiem dosłownie: „V. (str. 43). Z punktu widzenia ukraińskiej racji stanu zatem, nie tylko nie należy dążyć do zjednoczenia obu odłamów ukraińskiego narodu, po tej i po tamtej stronie Zbrucza, w jednem państwie, ale wprost przeciwnie, należy się tego rodzaju próbom jaknajenergiczniej przeciwstawić... przynajmniej do czasu, t. j. dopóki eksperyment komunistyczny nie przyniesie namacalnie dodatnich wyników, albo też dopóki po tamtej stronie Zbrucza nie powstanie ukraińskie narodowe państwo. Jedna i druga ewentualność nie wydaje się być bliską w tej chwili". W świetle tych wszystkich tez ukraińskiej racji stanu, wysuniętych przez Łosia, przeciętny czytelnik dojdzie prawdopodobnie do przekonania, że jest wprost historycznem posłannictwem Polski służyć za przechowalnię ukraińskiej racji stanu. Czyż można się potem dziwić ukraińcom i potępiać ich za sabotaż, jeśli im polscy publicyści wykładają ukraińską racje stanu? Przecież te echa federalizmu były i są bardzo istotnemi współczynnikami antypolskich nastrojów między ludnością ruską. Ciągle bowiem sami budzimy niepożądane ze stanowiska polskiej racji stanu nadzieje.

KAROL STOJANOWSKI

ROLA KULTURALNA ASTRONOMJI

JAKO fakt kulturalny astronomja zajmuje stanowisko wyjątkowe wśród nauk matematyczno-fizycznych. Praca twórcza astronoma jest nietylko bezinteresowna, jak bezinteresowną bywa często twórczość w zakresie t. zw. „czystej" nauki, ale nawet w celach swych irracjonalna, bo oddalona od wszelkiego biologicznego utylitaryzmu jednostek, czy grup. Poznanie pozaziemskiego, fizycznego wszechświata nie przyniosło dotychczas ludziom wyraźnych korzyści biologicznych. Niemniej pęd ku temu poznaniu, ku ogarnięciu całokształtu przestrzenno-czasowego fizycznej rzeczywistości, ku odkryciu sensu tej rzeczywistości, jej ładu i harmonji — jest niezbitym faktem psychochologicznym, społecznym i dziejowym. Niema bowiem środowiska kulturalnego (jeśli pominąć szczeble najniższe), niema też epoki, w którejby nie przejawiło się dążenie do poznania kosmicznego ładu. Astronomja jest jedną z najstarszych nauk. Jej zaczątki zjawiały się wszędzie, gdzie pierwsze pragnienie porządkowania rzeczywistości przenoszono na zjawiska najcodzienniejsze — zjawiska niebieskie.

Na tym pierwotnym szczeblu rozwojowym światopogląd astronomiczny nosił piętno religijne. Wpłynęły na to nietylko harmonja ruchów kosmicznych oraz integralność astronomicznego obrazu świata, lecz także poczucie niedosiężności ciał niebieskich, ich wyższości ponad zjawiskami ziemskiemi i rzekomej doskonałości (suggestjonowanej przez światło i harmonję ruchu). Religje prymitywne uważały planety za siedziby bogów. Mistyki, pitagorejska i platońska, widziały w gwiazdach świat doskonałości, ojczyznę dusz. Naogół jednak wyższość i niezmącona harmonja niebieskich zjawisk nie były pojmowane jako brak korelacji do zjawisk ziemskich. Przeciwnie, rozpowszechniony w świecie greckiego języka od czasów Aleksandra Wielkiego światopogląd astrologiczny widział w ruchach ciał niebieskich przyczyny ziemskich faktów, zgodnie z ideją wszechłączności kosmicznej.

Astrologja oddawna już posiada tylko historyczne znaczenie. Rozwiała się wiara w geometryczną doskonałość Kosmosu. Zdetronizowano Ziemię z jej centralnego stanowiska i rozerwano mury kryształowej sfery gwiazd. Otworzył się przed człowiekiem wszechświat, ponad wszelkie wyobrażenie potężny i skomplikowany, w którym Ziemia jest pyłkiem tak drobnym, że aż trudnym do odnalezienia. Wiara w uzależnienie zjawisk ziemskich od ruchów ciał niebieskich stała się absurdalną, nie mówiąc już o astrologji praktycznej, która opiera na tem uzależnieniu swe przepowiednie przyszłości. Nie imponuje nam już niedosiężność ciał niebieskich, boć wszędzie sięgają nasze metody badawcze. Nikt też nie uznaje jakiejś metafizycznej wyższości ciał niebieskich ponad naszą Ziemię.

Równouprawniona wśród biljonów równouprawnionych — miljonkroć większych lub mniejszych, lecz z tejże materji zbudowanych — oto nasza ojczyzna. Spostrzegamy, że brak już gruntu do przeciwstawienia Ziemi i nieba, boć Ziemia nie co innego, jak tylko cząstkę nieba stanowi.

Jednakże, pomimo takiego ogołocenia z dawnych uroków, astronomja nie straciła swych adeptów. Przeciwnie, jej postępy są coraz wspanialsze. Możnaby także zawahać się przy negowaniu religijnych suggestyj, przez nią wciąż jeszcze nasuwanych. Jak było powiedziane na wstępie, szukamy w astronomji ładu kosmicznego. Otóż w tem poszukiwaniu, świadomie czy nieświadomie, wkracza-

my na grunt metafizyczny. Także i z innych stron zbliżamy się do metafizyki. Jeśli np. dochodzimy do wniosku, że świat fizyczny, naukowo poznawalny, jest skończony i zamknięty w sobie, to zaraz potem wybiegamy myślą w niepoznawalne, poza przestrzeń i czas fizyczny. Jeśli spostrzegamy, iż kosmos podlega rozwojowi, w którym zachodzą zmiany systematyczne, bezpowrotne, to zaczynamy szukać usprawiedliwienia dla takiego a nie innego kierunku ewolucji. Jeszcze bardziej niepokojące są dla nas wnioski, dotyczące końcowego i początkowego stanu kosmosu. Pytanie, dlaczego rzeczywistość posiada określone oblicze, staje się coraz bardziej sensowne, palące w miarę, jak spostrzegamy przestrzenne i czasowe ograniczenie Kosmosu.

Z powyższego wynika już, że rozwój astronomji miał i ma jeszcze ciągle wpływ na światopogląd filozoficzny, a nawet religijny. Pośrednio więc działa on także na postawę etyczną człowieka. Wydaje się jednak prawdopodobne, że sens teleologiczny astronomji jest znacznie szerszy. Powiedziane było, że astronomja jest faktem psychologicznym, społecznym i dziejowym. Fakt ten, rozwijający się w przeciągu tysiącoleci bez symptomów zbliżającego się końca, powinien nasunąć pewne refleksje historjozofom i socjologom. Jako objaw głęboko zakorzenionego, ogólnoludzkiego instynktu, musi on posiadać znaczenie z punktu widzenia ogólnoludzkich interesów. To znaczenie jest wprawdzie wciąż zagadkowe, lepiej jednak przyznać się do nieświadomości, aniżeli z naiwną krótkowzrocznością nazywać astronomję nauką zbyteczną.

W dobie dzisiejszej przywykliśmy do rozpatrywania wielu kwestyj z punktu widzenia interesów społecznych. Astronomję nazwaliśmy faktem społecznym. Nie jest ona jednak faktem powszechnym, znajdującym odzew w każdej psychice ludzkiej. Zachodzi pytanie, czy astronomiczne zainteresowania mogą i czy powinny być upowszechnione, czy astronomja stanowi w pewnym stopniu naturalne dobro powszechne? Wydaje się, że tak. Niezależne od wszelkiej teleologji astronomicznej, która, jak powiedziano, dotychczas w znacznej części pozostaje zagadkowa, sam fakt zaspokajania wrodzonego nam instynktu, który niech wolno tu będzie nazwać kosmicznym, stanowi powszechne, ogólno-ludzkie dobro. Nie jest ono wprawdzie tak łatwo dostępne, jak np. kontemplacja dzieł sztuki, z którą poznanie astronomiczne ma wiele wspólnego przez swój brak utylitaryzmu. Przeszkodę stanowi intelektualizm poznania naukowego. Pamiętajmy jednak, że do korzystania z piękna astronomji nie jest konieczne przejście przez te okopy, które zdobywali jej twórcy, podobnie jak do kontemplacji dzieła sztuki nie jest konieczne uczestnictwo w akcie twórczym. Nawet skromny wysiłek intelektualny dostarczyć może w tej dziedzinie nietylko intelektualnego, lecz także wysoce estetycznego zadowolenia. Wartości estetyczne, związane z astronomją, są dwojakiego rodzaju. Pierwsze biorą źródło z bezpośredniej kontemplacji przyrody, drugie — z naukowego jej pojmowania, z odkrywanego w niej ładu, o którym wspomniano wyżej. Zestawienie wartości estetycznych z intelektualnemi może prowadzić do stanów niemal mistycznych, w których wypełnia nas radość łączności z Kosmosem, którego część stanowimy, a który objawia nam swą konstruktywność i potęgę. Niebo jest naszą ojczyzną — może przeszłą i nie przyszłą, jak wierzyli starożytni — ale ojczyzną dnia dzisiejszego. Godzi się, byśmy ją poznali. Godzi się, byśmy zdali sobie sprawę ze stanowiska, które zajmujemy w Kosmosie i byśmy się w ten sposób dowiedzieli, jak samych siebie nazywać mamy.

Nauka współczesna robi postępy zawrotne. Są dziedziny, w których rewolucja następuje za rewolucją. W przeciągu lat kilku obalane są najbardziej podstawowe tezy i gmach nauki trzeba rewidować od fundamentów. Fizyka wkracza do geometrji, przekształca nasze pojęcia o przestrzeni i o czasie, stwierdza zniszczalność materji i wymienność materji i energji. Zapytuje, co znaczy słowo „rzeczywistość" i orzeka, iż dla umysłu ludzkiego niemożliwe jest stworzenie jednolitego, mechanicznego jej obrazu. Tym samym istotom fizycznym wypada przypisywać sprzeczne formy, zależnie o okoliczności. Wreszcie zakwestjonowana zostaje nawet przyczynowość i determinizm przyrody.

Astronomja, w najściślejszy sposób z fizyką związana, nie dokonywa wprawdzie odkryć tak rewolucyjnych, ale przecież ukazuje człowiekowi perspektywy zawrotne, których możliwości jeszcze przed niewielu dziesiątkami lat nikt nawet nie przeczuwał. Rzeczywistość, widziana oczami człowieka oświeconego przy końcu XIX wieku i przy końcu trzeciego dziesięciolecia wieku XX — to dwie różne rzeczywistości. Za tym szalonym pochodem nauki śledzą jednak tylko nieliczne stosunkowo grupy ludzi. Uwagę ogółu pochłaniają w najlepszym razie poboczne produkty nauki o brutalnym, oczywistym sensie — dzieła techniki. W gorączkowem tempie nowoczesnego życia nie starcza nietyle czasu, ile nerwów, aby w niewielu sekundach prawdziwego skupienia ocenić głębiej to, o czem słyszą uszy i o czem czytają oczy. Z drugiej strony brak jest ludzi, którzyby ułatwili ogółowi tę ocenę. Refleksja filozoficzna nie nadąża za koszmarną rozrodczością tez naukowych. Ludzkość (bo dzieje się to nietylko w naukach ścisłych ale we wszystkich dziedzinach pracy intelektualnej, zaczyna przypominać nieprzytomnego palacza, pamiętającego tylko o tem, by miotać węgiel na palenisko, ale niepomnego celów tej czynności, bo niezdolnego do refleksji. Cywilizacyjna lokomotywa w coraz szaleńszem tempie pędzi naprzód i coraz częściej podnoszą się głosy, że niechybnie zeskoczy z szyn, jeżeli w mózgu palacza nie zrodzi się refleksja.

To, co się mówi o całym froncie pracy intelektualnej, dotyczy także tego małego odcinka astronomicznego, któryśmy wzięli za przedmiot naszych rozważań. Zaznaczane już było, że refleksje, rodzące się na tym odcinku, mają wpływ głęboki na kształtowanie się psychiki i światopoglądu, będąc zarazem źródłem prawdziwej radości i zaspokojeniem ogólnoludzkiego instynktu, który posiada, być może, sens teleologiczny szerszy, choć dzisiaj zgoła tajemniczy. Aby jednak możliwe było refleksyjne i powszechne przeżycie poznania astronomicznego, musi nastąpić rozpowszechnienie tego poznania, demokratyzacja światopoglądu naukowego. Jeśli rozważania wyżej przytoczone wyjaśniły dostatecznie konieczność tego rozpowszechnienia, ich cel został osiągnięty. Rzut oka na współczesny stan astronomji postaramy się podać w osobnym artykule.

JEREMI WASIUTYŃSKI

NA WIDOWNI

„Hallelu Jah!“ — Czemu przeżywamy okres upadku sztuki religijnej. — Właściwa postawa. — Przemiany w duszach. — Ich przyszły wpływ na sztukę.

WŁAŚNIE w okresie wielkopostnym wziąłem do rąk wydaną niedawno, nakładem księgarni Św. Wojciecha, „opowieść ewangeliczną“ Szczepana Jeleńskiego: „Hallelu Jah!“ W nastroju przedświątecznym, w przededniu Wielkiejnocy, czytałem o tłumach, gromadzących się na obchód Paschy u stóp jerozolimskiej świątyni i o tych różnych, najdziwniejszych faktach w dziejach świata, jakie tam wówczas, przed tysiącem dziewięciuset laty, oglądali żywi ludzie na własne swoje oczy: o wskrzeszeniu Elazara, nawróceniu Mirjam z Magdali, o naukach Jezusowych w krużgankach Przybytku i trjumfalnym wjeździe na oślęciu wśród okrzyków: „Hosanna!“.

Co skłoniło mnie do pisania o tej niewielkiej objętością książce, która bodaj w założeniu autora pojęta była w sposób skromny, jako dostarczenie szerokim rzeszom czytelniczym budującej lektury, i w twórczości samego Jeleńskiego-Katerwy nie dorównywa, pod niejednym względem, nieprzeciętnym walorom literackim „Przechodnia“? Oto wydaje mi się, że niezależnie nawet od oceny artyzmu czy pisarskiego rzemiosła, rzecz zasługuje na zainteresowanie z tego powodu, że autor „Hallelu Jah!“, biorąc za tworzywo opowieści tematy z Ewangelji, do dzieła swego przystąpił w postawie psychicznej, w czasach obecnych raczej wyjątkowej, a przecież, w rzeczywistości, jedynej, która — przy odpowiednich talentach — zapowiadać może nową epokę podniesienia się sztuki religijnej z jej dzisiejszego upadku.

Zastanawiające jest, od jak dawna już, zarówno w dziedzinie literatury, jak i sztuk plastycznych, nie powodzą się najczęściej twórcom — próby odmalowania wizerunku Chrystusa. Większość wybiera metodę najdogodniejszą: mniej lub bardziej bezdusznego trzymania się utartych reguł konwenansu, inni znowu, zniechęceni płytkim, jałowym konwencjonalizmem, usiłują go przełamać w ten sposób, że przedstawiając Zbawiciela, starają się w możliwie największej mierze, wypowiedzieć siebie, swoją własną indywidualność, swoje, oryginalne pomysły, upodobania, ideały, zaś ewokowana przez nich postać Boga-Człowieka nie zyskuje, oczywiście, bynajmniej na tego rodzaju podstawieniu...

Postawa Jeleńskiego jest odmienna: kreśląc w swej „opowieści“ obraz Jezusa, ma tylko jedyne dążenie, by — w miarę sił — uczynić Go najpodobniejszym do Niego samego, takiego, jakim objawił się w Ewangelji. Chrystus, ukazany przez Ewangelję i naukę Kościoła, jest dla autora „Hallelu Jah!“ faktem objektywnym, jest oczywistością najpewniejszą: nie swój pomysł dowolny pragnie przedstawić pisarz, ale Prawdę przedmiotową, a stara się zamiar ten urzeczywistnić w sposób najbardziej skrupulatny i sumienny. Podziw i szacunek budzić musi rzetelność, z jaką w każdym, najdrobniejszym szczególe ściśle trzyma się Jeleński tekstów Pisma Św., opierając się równocześnie i na gruntownych studjach biblijnych, i na dokładnem poznaniu tła historycznego epoki (np. rozmowa Elazara z Lią o kulcie ofiarnym w świątyni jerozolimskiej, opis uroczystości Paschy w domu Józefa z Arymatei i t.p.).

Otóż ta właśnie pewność całkowita, to traktowanie cudów i Tajemnic wiary, jako faktu, jako prawdy objektywnej, jest nieodzownym warunkiem dla dokonania w sztuce religijnej czegokolwiek rzeczywiście cennego i trwałego. To jest podstawa istotna, najgłębsza, która łączy najdoskonalszy artyzm krucyfiksu Stwosza z wzruszającym prymitywem wiejskiego „świątka“. Na tym fundamencie mogą być budowane dzieła większe i mniejsze, zależnie od talentu twórców, od ich umiejętności i biegłości, ale bez niego wszelkie wysiłki w tym zakresie są zgóry skazane na niepowodzenie, daremne.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Może nie od rzeczy jest zastanowienie się, choćby przez chwilę, nad zagadnieniem sztuki religijnej właśnie w okresie świątecznym, kiedy w dziennikach pojawiają się obowiązkowe, „okolicznościowo“ natchnięte wierszyki p. t. „Alleluja!“ albo „Golgota“, gdy, jak corocznie, wystawia się po kościołach, pośród kwiatów, świateł, zieleni, tandetne, gipsowe figury (... „więc mi smutno, że... świętych figury patronów bez wyrazu“ — żalił się niegdyś Norwid w „Promethidionie“). Nasza sztuka religijno-kościelna, zwłaszcza ta z życia codziennego, użytkowa, ciągle jeszcze trzyma się konwenansu epoki z przed lat kilkudziesięciu, epoki najżałośliwszego chyba upadku ducha religijnego i zupełnego wyjałowienia twórczości artystycznej w tym zakresie. „Grób“ w kościele św. Krzyża w Warszawie strojony jest dziś bodaj w taki sam sposób, jak i wówczas, kiedy Wokulski posyłał dla jego ozdoby „dywany, ptaszki śpiewające, pozytywkę, nawet fontannę“. A przecież wnętrze świątyni, ci, którzy ją zapełniają, zmienili się w ciągu tych lat do niepoznania. Nie stoją tam już, jak w epoce „Lalki“ Prusa:

„...stoły okryte dywanami, na nich tace pełne bankcetli, srebra i złota, a dokoła nich damy, siedzące na wygodnych fotelach, odziane w jedwab, pióra i aksamity, otoczone wesołą młodzieżą. Najpobożniejsze pukały na przechodniów, wszystkie rozmawiały i bawiły się, jak na raucie“.

Nie „tu i owdzie“ po kątach, ale we wszystkich nawach widać tłumy pobożnych, korne, skupione, „wesoła młodzież“ nie na flirt z panną Izabelą Łęcką przychodzi do świątyni, ale gromadnie klęczy, pogrążona w modlitwie, w ławkach i przed balaskami ołtarzy. Kiedy czyta się o tysiącznych rzeszach studentów, przystępujących do spowiedzi, o konieczności powtarzania rekolekcyj dla akademików, ponieważ obszerny kościół św. Anny nie mógł pomieścić tak wielkiej ilości słuchaczy, gdy z tylu stron spostrzegać można objawy odrodzenia i pogłębienia się życia religijnego, widzi się jasno, że ten stan rzeczy nie może pozostać bez wpływu i na twórczość w dziedzinie sztuki, na literaturę religijną we wszystkich jej odmianach i rodzajach, na wygląd zewnętrzny naszych kościołów. Jakże głęboko przeniknął i jak wysoko wyniósł był duch pobożności sztukę Wieków Średnich, a któż wie, w jakim jeszcze stopniu i zakresie, czasy, które nadchodzą, nabierać mogą cech jakiegoś nowego średniowiecza? Kto wie, może, pomimo wszystko, bliżsi jednak zaczynamy już być tej chwili, kiedy rozpocznie się spełniać przepowiednia norwidowska o „przyszłej w Polsce sztuce“, która będzie:

„jak najwyższe z rzemiosł apostoła
i jak najniższa modlitwa anioła“...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

PO ZAMACHU MAJOWYM ŻYCIE POLITYCZNE NABRAŁO CECH STAŁOŚCI. Jedną z najstalszych jest perjodyczna zmiana rządu. I społeczeństwo w nowych warunkach wyrobiło się politycznie. Niestałość rządów przyjęło za normalną właściwość czasów. Nie budzi ona niczyjego niepokoju, potrochu zaczyna robić swoje wychowanie „państwowe". Nie licząc zmian pomniejszych, od maja 1926 r. rząd podległ rekonstrukcji jedenaście razy... Nie zmienił się kierunek, powiecie? Z pewnością, nie: ale nam chodzi nie o kierunek, lecz o — rząd. Zbyt dosłownie, zbyt technicznie to słowo bierzemy? Kierunek ma być wszystkiem? Ależ w takim razie i era przedmajowa była erą „stałego" rządu,—nie zmieniał się „kierunek", nastawienie było wciąż na parlamentaryzm. To pewna, że częstością zmian gabinetowych era sanacyjna rywalizuje (może zwycięsko) z erą parlamentarną. To jednak jest nowe, i w tem już widać rezultat wychowania w nowej politycznej szkole, że dopiero po maju społeczeństwo tak się obyło ze zjawiskiem niestałości rządów, że zupełnie się zachodzącemi raz po raz zmianami nie interesuje. Nie zwraca uwagi. Z zainteresowań wyeliminowano zwłaszcza czynnik personalny. Myślicie, że to tylko „endecy" na złość *régime*'owi nie interesują się zamianą p. Zawadzkiego na p. Kozłowskiego, że ignorują osobistości, które każdy, jawnie czy skrycie, admirować musi? Że przeciętni sanatorzy pasjonują się debatami: „Zawadzki lepszy", — „Kozłowski doświadczeńszy!" — „Ja do tego mam więcej zaufania" — „Ja stanowczo do tego", — itp? — Przesada. Zaufania do osobistości i do talentów niema, bo era sanacyjna nie wyłoniła talentów. Ale — wróci stary argument — nikt nie niepokoi się tasowaniem figur w rządzie, bo zaufanie jest nie do osobistości — te mogą być ogółowi nieznane z zasług i charakterów — zaufanie żywione jest do kierunku. Na to zauważmy przedewszystkiem, jak marne jest słownictwo polityczne, które obojętność nazywa „zaufaniem". To w spokoju pełnym obojętności, a nie zaufania społeczeństwo przyjęło wiadomość o jedenastej rekonstrukcji rządu. A prócz tego, gdyby to nawet było zaufanie, to jakże irracjonalne, jak wolne od troski o państwo w ścisłem, technicznem znaczeniu tego słowa. Przez sześć miesięcy minister zaledwie nauczy się jako tako najważniejszych spraw w zakresie swego resortu. Przez sześć miesięcy jest właściwie aplikantem. Po tym upływie czasu normalnie przenoszą go w stan nieczynny lub na nową aplikację. Jeśli państwo na tak częstych rekonstrucjach rządu nie cierpi, bo kierunek jest stały, to znaczy, że nie cierpiałoby na dwakroć, trzykroć częstszych, na codziennych... Wyobrażacie sobie to głębokie zaiste zaufanie, z jakiem społeczeństwo codzień przyjmowałoby z gazet nową wiadomość (tłustym drukiem) — o rekonstrukcji rządu?

NA UNIWERSYTECIE WILEŃSKIM ZASZEDŁ GODNY UWAGI INCYDENT. Na zebraniu organizacyjnem studentów żydowskich obecny był w charakterze kuratora prof. Wróblewski. Znacie obraz zebrania inteligencji żydowskiej: tłok, roznamiętnienie, zaduch... Obraz tym razem był tem kompletniejszy, i tem sympatyczniejszy, że zebrani rozmawiali żargonem. Żargon stał się nawet językiem ich obrad, i nie dał się wyprzeć ze stanowiska publicznego języka zgromadzenia.

Było te nietaktem wobec profesora Wróblewskiego i z konieczności wywołało scysję między kuratorem, a zgromadzoną młodzieżą. Interwencja kuratora była w tym wypadku zupełnie zrozumiała. Ale niezrozumiałe jest stanowisko, jakie wobec incydentu zajęły niektóre pisma. Uznano za niewłaściwe już to samo,że młoda inteligencja żydowska obradowała w żargonie.. Jak kompletne bywa pomieszanie pojęć w tym zakresie, dowodzi np. artykulik „Gazety Polskiej" z d. 20 marca, p. t. „Mistycy w politycznych szatach". Jest to próba poważnej dyskusji na temat podstawowych zagadnień stosunku polityki polskiej do żydowskiej: „Każdy, kto chce myśleć politycznie"—czytamy—„spostrzeże z łatwością, że w niejednym wypadku cele polityki gospodarczej, czy międzynarodowej, czy nawet wewnętrznej, Państwa Polskiego mogą się na długich odcinkach pokrywać doskonale z potrzebami i pragnieniami ludu żydowskiego". Entuzjastyczny autor w dwu mianowicie konkretnych wypadkach „spostrzega z łatwością", jak „cele polityki Państwa Polskiego pokrywają się doskonale" z potrzebami i pragnieniami ludu żydowskiego: oto gdy chodzi o zwalczanie proponowanych przez Stronnictwo Narodowe ograniczeń prawnych („*numerus clausus*") i ekonomicznych (bojkot). Taka koncepcja Państwa Polskiego przyświeca artykułowi...

Znamienny w pełni jest pogląd ten dopiero wtedy, gdy zestawi się go z koncepcją antysemityzmu w rozumieniu autora. Natenczas dopiero uprzytomnimy sobie, jaką niedorzecznością jest popularne pojęcie o „antysemityzmie". „Antysemityzm... ma być formą zwalczania narodowych tendencyj żydowskich". On — ze swoją ciepłą sympatją dla wielu przejawów odrębności fizycznej i duchowej Żydów? On — co ubolewa, że Tuwim i Słonimski nie noszą pejsów? Jakież nieporozumienie! Oczywiście, antysemityzm walczy o usunięcie nienormalności, jaką stanowi tak liczny i tak obcy element żydowski w państwie polskiem. Ale nie poczytuje za sukces ani wyrwania brody Żydowi, ani faktu, że Żyd się ogoli. Nie łudzi się, że następuje asymilacja, jeżeli Żyd zamiast w żargonie, zacznie szwargotać po polsku. „Celem narodowej polityki żydowskiej jest przedewszystkiem zachowanie odrębności narodowej..." „Antysemityzm ma być formą zwalczania narodowych tendencyj żydowskich" — na ślepo, według autora. Oto popularny nonsens. Antysemityzm, tępiący żargon na zebraniach młodej inteligencji żydowskiej, byłby równie nieoświecony, jak polityka zwalczania „*numerus clausus*" — w imię celów „Państwa Polskiego".

NAUKA I LITERATURA

„ZYGZAKI"

PRZYZNANIE państwowej nagrody literackiej Karolowi Hubertowi Rostworowskiemu przyjęła opinja publiczna z głębokiem zadowoleniem. Dopóki nagrody literackie, jak to musiało być na początku, przypadały nestorom-jubilatom z racji starszeństwa, przyklaskiwano, jako rzeczy naturalnej; ale potem każda zapowiedź nagro-

dy zaczęła budzić obawy niespodzianki. Literatów niezawsze można wyrozumieć, ogół zaś radby widzieć w laurze jednomyślność powszechną, jak na Olimpjadzie.

Rostworowski jest laureatem, którego okrzyknąć można pod otwartem niebem — w słońcu, jak wieńczono tragików za czasów greckich przed dwudziestu kilku wiekami. Rostworowski podobny jest Sofoklesowi, który w „Antygonie" tak wyraził swój stosunek do człowieka i gromady:

Olbrzymia ludzkiej myśli potęga
Nad podziw wielkich celów dosięga;
Lecz człek, swawolny w działaniu swem,
Chwieje się między dobrem i złem.
A kto podepcze prawa ojczyste,
Kto na domowe porwie się bogi,
Tego przekleństwo ściga wieczyste,
Tego ojczyzna rzuci za progi.

Ilekroć słucham Rostworowskiego w teatrze, zawsze przychodzi mi na myśl ten chór z „Antygony", którego się uczyłem w szkole kieleckiej: *„Polla ta deina kuden"*... To samo spojrzenie bezpośrednie w życie ludzkie, podziw i dreszcz tragiczności.

Wiele jest dziwów, a przecie
Człowiek największy dziw w świecie.

Pokazał nam te dziwy Rostworowski w „Kaliguli", „Judaszu", „Miłosierdziu", „Zmartwychwstaniu", „Niespodziance", „Przeprowadzce". Z dalekich szedł stron i czasów, jak widzimy — aż wreszcie znalazł tego samego człowieka w okolicy swojej i w Krakowie. Krakowski wyrobnik, noszący cegły, z „Przeprowadzki" mówi wyrocznie, jak chór grecki, czego on chce:

Chce, aby ludzie nie byli jednacy,
by z wielkich wielką korzyść miano.
Inaczej, stawia wielkość pod ścianą
i strzela! Zemstą? Nie! Rozpaczą!
I woła: „Rządy ci oddałem,
na moich rękach cię wyniosłem!
Rzekłem: bądź sterem, będę wiosłem,
bądź duchem — będę ciałem!
Ale gdy ster wypuścisz z dłoni,
gdy ci się znudzi sterowanie,
albo gdy w drodze duch ustanie
i pełnym żłobom się pokłoni,
góro! usłyszysz tu na dole
nasze przekleństwo... („Zygzaki", 26).

Urywek ten wyjmuję z tomiku poezyj p. t. „Zygzaki", które Rostworowski wydał w tych dniach (nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu). Rozwiązuje tu, jak widzimy, wielki problemat ludzkości czasów naszych. Wielkie zagadnienia socjalne ściąga swoją metodą tragicznych wejrzeń w istotę rzeczy do kwestji ducha (w czem podobny jest Krasińskiemu), ducha, który zająwszy górną w świecie pozycję, obowiązuje do ciągłego wysiłku w zwyż. Gdy zaś się znuży, gdy „pełnym żłobom się pokłoni", wtedy człowiek pracy wykonywa nad nim sąd i tylko wtedy. Ludowi nie zależy bynajmniej, aby wszyscy „byli jednacy", nie — on łaknie wielkości.

Rostworowski rozwiązuje zagadnienia cywilizacji ze stanowiska praw rozwoju, danych naturze człowieka przez religję i zmysł twórczy narodu. Tworzy syntezę górną i tragiczną ponad zgiełkliwą areną walki o materję. Zaciąga nad światem, przez ludzi tworzonym, strop niebieski, godny świata prcmethidjonów.

Ustrój świata taki, a jaki ustrój człowieka?

Przed każdym staje życie choć raz, jak morderca,
krzycząc: „Ręce do góry! Serce albo głowa!"
Na pytanie, co oddać, odpowiedź gotowa:
głowę. Bowiem po rozum można iść... do serca.
— A po szczęście do głowy? Być może, być może,
lecz pozwólcie, że ja to między bajki włożę.
(„Zygzaki", 8).

W sercu, jednem słowem, jest kompas uczuciowy, mądrość, która jest i światłością i ciepłem, tam charakter, siedlisko idealizmu, stamtąd polot, czyn. Tam miłość, obowiązek, ofiara, odpowiedzialność, tam — Bóg.

Serce sprawia, że

choć przed nami straszne boje:
Śmierć — a tylko krzyżyk w dłoni,
wciąż powraca szczęście moje
i jak w rondzie w życiu dzwoni.
(„Zygzaki", 54).

Rostworowski małopolanin, Polak rasowy, dziedzic i wytwórca najwyższej w Polsce kultury, jest człowiekiem prostej, katechizmowej wiary. Tej wiary, która sharmonizowała się z rozumem i z wolą i obrała z powrotem siedzibę w sercu, jak u człowieka prostego, z tą jednak odmianą, że nie samą już bojaźnią jest Bożą, ale ostoją Prawdy.

W przepięknem „Confiteor" tak się spowiada:

Panie, moją pokorą nie darzy mnie pycha,
ani w pychę nie wzbija mię moja pokora!
Usycham, jak jesienią liść każdy usycha,
przemijam, jak przemija każdy dzień z wieczora,
czuję, że szata moja zwietrzała i licha
z odsyskaniem barw swoich już się nie upora,
więc — by duch mój w ciemnościach nie zgasł jak meteor,
u stóp Twoich odmawiam głośne Confiteor („Zygzaki", 59).

Uczucia ludzkie ciągną go ku ziemi. Dla poetyckiego serca jest to święto, gdy ze szczytów zstąpi do wioski, jakby dusza wracała w przedwieczne czasy:

Błogosławieni, których światem wioska,
zegarem słońce, ludzkością gromada...
Na nich spogląda z ołtarza twarz Boska
wiecznie ta sama, dostojna i rada,
i w duszach Stwórca króluje rzeźbiony,
jakby na żywe zstąpił feretrony.
(„Zygzaki", 60).

Przez lud najściślej łączy się jego dusza ze środowiskiem narodowem. Przez duszę ludu wziera w „konkret" tego, co jest pojęciem narodu. Wiara Rostworowskiego w naród jest tak bezpośrednia, jak religijna, tak prosta i tak bezwzględna. W uczuciu narodowem zestraja się dusza poety i nabrzmiewa do swej pełni. On jeden — po Wyspiańskim — czuje poetycko tragizm dziejów:

A kto podepcze prawa ojczyste,
kto na domowe porwie się bogi,
Tego przekleństwo ściga wieczyste...

Więc sprawiło to radość, że oceniono w Rostworowskim wartości kultury, serca i talentu składające się na jego artyzm, że złożono hołd wielkim tradycjom twórczości, których jest wcieleniem, że nagrodzono poetę narodowego.

Z. W.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Nareszcie poszukiwania archiwalne ustaliły pochodzenie matki Adama Mickiewicza. Było to potrzebne do obalenia legendy żydowskiej o jej żydowskim rodowodzie. Pan Euzebjusz Łopaciński wyniki skrzętnych poszukiwań w tej sprawie ogłosił teraz w „Wiadomościach Literackich".

Ród Barbary Majewskiej, matki Adama, pieczętował się herbem Stary Koń. W pewnym akcie z r. 1801 znalazł się Ignacy Majewski tego herbu, przydomku Murawiec, z rodziny oddawna w Nowogrodzkiem osiadłej. Na ten dokument rodzinny powołuje się potem przy innym akcie ojciec poety

Mikołaj Mickiewicz. Ignacy Majewski był synem Mateusza i Anny z Orzeszków, Mateusz zaś był synem Michała i Barbary z Topolskich. Inne akty z r. 1797 i 1805 w zupełności ten rodowód potwierdzają.

Bardzo ciekawy szczegół wynalazł w aktach p. Łopaciński. Mateusz Majewski, dziad Mickiewicza, był ekonomem w Czombrowie u pp. Uzłowskich. W r. 1795 ten p. Uzłowski, ekonom jego Mateusz Majewski i Harasimowicz, który w tym majątku nabył ziemię, pozwani byli przez szlachtę drobną sąsiedniego Zubkowa o zajazd. Oskarżono ich o gwałt, rabunek i w dodatku o to, że do pomocy sprowadzili sobie oddział wojska rosyjskiego. Mateusz tedy Majewski był tutaj Gerwazym, bo trzeba przypuszczać, że te tradycje domowe poecie były znane.

ZE ŚWIATA ARTYSTYCZNEGO

Nagroda państwowa dla muzyków za r. 1932 przypadła Janowi Adamowi Maklakiewiczowi. Nagroda przeznaczona była za najlepszy utwór muzyczny z ostatniego pięciolecia. Maklakiewicz dostał ją za „Koncert wiolonczelowy“, wykonany poraz pierwszy w r. 1930 w Bukareszcie. Wybór laureata, dokonany przez komitet, spotkał się z powszechnem uznaniem.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W dn. 13 marca b. r. odbyła się w Krakowie akademja ku czci ś. p. gen. Tadeusza Rozwadowskiego. Komitet budowy pomnika zmarłego tragicznie generała wydał obecnie w broszurze przemówienia, na akademji wygłoszone, mianowicie odczyt gen. Kukiela i fejleton Zygm. Nowakowskiego i sprzedaje tę broszurę po 1 zł. na fundusz budowy pomnika. Nabywać ją można w księgarniach. Tytuł: „Hołd bohaterowi gen. T. Rozwadowskiemu“ (z portretem).

*

W rocznikach praskiej *„Slavii“* prof. Ignacy Chrzanowski ogłasza od lat kilku znakomite perjodyczne przeglądy literackie. Z myślą zarówno o polskim, jak obcym czytelniku gromadzą owe sprawozdania wydawnictwa i studja naukowe, informują o postępie badań, oceniają znaczenie i wartości ukazujących się publikacyj; niby zatem rodzaj bibljografji rozumowanej. Ale prof. Chrzanowski zbyt dużo ma do powiedzenia w nauce, by ograniczyć się jedynie do roli informatora i bibljografa. To też bibljograficzne jego poglądy, szczodre w uwagi uzupełniające, pobudliwe i twórcze, pełne bystrych i lapidarnych ocen, sygnalizują nietylko rezultaty studjów polonistycznych, ale także zaniedbania naukowe i pominięcia. W ten sposób artykuły krakowskiego uczonego, złożone w całość jakże atrakcyjną i pociągającą, kreślą ni mniej ni więcej tylko stan badań nad historją polskiej literatury w jej chronologicznej — niemal po dni nasze — rozciągłości. Oto dlaczego upatrujemy w cyklu Chrzanowskiego walor trwały. To jedno wystarcza, by uzasadnić potrzebę zebrania owych dorocznych przeglądów w wydaniu książkowem. A może myśli już o tem cierpliwy autor?

Rocznik ostatni *„Slavii“* (X, 1931) przyniósł część siódmą (i ostatnią) serji drugiej artykułów prof. Chrzanowskiego, która zgromadziła wydawnictwa i opracowania naukowe za lata 1922 — 1924. Materjał ujęty w trzy rozdziały: osobno poezja i proza po r. 1863, nadto zaś Wyspiański — wyodrębniony dla wielości rzeczy w rozdział specjalny. Oceniono tu nietylko publikacje większe, znane z perjodyków naukowych i witryn księgarskich; sięgnięto także po przyczynki drobne, z prasy nieraz codziennej, zapomniane, w treści zaś ciekawe i ważne. Ze szczegółów, które proszą się o zanotowanie, wymienimy dwa, najbardziej atrakcyjne: drobiazg o Asnyku z pamiętników Baranowskiego, ilustrujący opinje polityczne poety z czasów powstania styczniowego, — oraz wiadomość o prototypie realnym Płoszowskiego z „Bez dogmatu“: to historyk Karol Potkański. Zwierzył tę ciekawostkę Wł. Natanson prof. Fr. Bujakowi, autorowi rozprawy: „Życie i działalność Karola Potkańskiego“, Akademja Umiejętności, 1921.

Wśród sądów Chrzanowskiego zasługuje na przypomnienie entuzjastyczna, a jakże słuszna opinja o dziele Zygmunta Wasilewskiego: „Jan Kasprowicz“. (T. M.)

*

Nowy, czwarty zeszyt „Pamiętnika Literackiego“, czasopisma kwartalnego, poświęconego historji i krytyce literatury polskiej, wydawanego przez Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza we Lwowie, pod redakcją prof. Bronisława Gubrynowicza, podaje prace kilkunastu uczonych. Dokończenie studjum Eugenjusza Kucharskiego „Pani zabiła pana“ zawiera szczegółową analizę form literackich tej mickiewiczowskiej ballady, jej budowy, stylu, formy wierszowej, i przedewszystkiem genezy pierwowzoru jej tematu w utworach innych literatur. W rozprawie Zygmunta Leśnoborskiego „Źródła starożytne „Wojny chocimskiej“ Krasickiego“ autor trafnem zestawieniem tekstów stwierdza zależność koncepcji Krasickiego od pomysłów artystycznych Wergilego „Enejdy“ i Woltera „Henrjady“, i w filozofowaniu od eklektycznej filozofji Cycerona. Dalej Józef Korpała w rozprawie „za kulisami młodej Warszawy literackiej przed powstaniem listopadowem“ ukazuje tę erę zmagań się o nowe wartości kulturalne. Otwarcie Uniwersytetu Warszawskiego stało się w tym czasie zdarzeniem przełomowem i płodnem w owoce. Wokoło uniwersytetu zgromadzili się młodzi i śmiali pisarze i starali się natchnąć swym entuzjazmem Teatr Narodowy i Towarzystwo Przyjaciół Nauk, odgraniczone od wpływów Zachodu murem formuł, przepisów i snobizmu. Rozprawa p. Korpały przynosi z zakresu kultury tego czasu obfity materjał, szereg charakterystyk postaci, salonów literacko-artystycznych, kółek naukowych, lóż wolnomularskich, tajnych związków politycznych, prasy jawnej i podziemnej, cenzury, repertuaru teatru i życia towarzyskiego, wszystko przed wybuchem powstania na tle rewolucyjnego wrzenia. Cytaty urywków poezji i listów doskonale ilustrują polemiczne nastroje ówczesnych warszawskich klasyków i romantyków. W dalszym ciągu „Pamiętnika literackiego“ Józef Morawski w rozprawie „Echa powstania listopadowego w poezji francuskiej“ daje na wstępie retrospektywny obraz stosunku poezji francuskiej do Polski, poczem wobec tragedji rozbiorów i powstania przedstawia coraz serdeczniejsze i głębsze zainteresowanie francuskich poetów sprawami Polski, w dowód czego przytacza ich utwory, pieśni okolicznościowe, hymny i poetyczne przemówienia na nabożeństwach i zebraniach publicznych. Zeszyt ten „Pamiętnika literackiego“ kończą rozdziały: Miscelanea, Materjały i Recenzje, podając pracowite i przenikliwe studja krytyczne, przeważnie z zakresu dawnej naszej literatury.

(A. W.)

*

Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Poznaniu wydało studjum historyczne Ludwika Bertranda, członka akademji francuskiej „Ludwik XIV“, w przekładzie i z przedmową St. Wasylewskiego, z licznemi ilustracjami wedle sztychów mistrzów rytownictwa tej epoki, str. 289. Książka ma w swej szacie drukarskiej i sztycharskiej wygląd monumentalny, co dobrze odpowiada kulturalnemu zarysowi i naukowej powadze dzieła. Autor skomponował życiorys monarchy w pięciu częściach, Narodziny Ludwika — Bożydara, Budzi się do miłości i sławy, Życie wśród rozkoszy, Pomiędzy orłem i lwem i Człowiek który zaślubił Francję. Olbrzymi materjał badań i poglądów historycznych, anegdot, aforyzmów, pamiętników i listów ugrupował Bertrand w okresach lat, na tle intryg politycznych i dworskich kraju i zagranicy, wojen, prawodawstwa i administracyjnych, budowniczych dążeń ku scementowaniu państwa w organiczną całość. Postać króla, jego wola niezłomna, wdzięk osobisty, geniusz sprawowania rządów, przodują akcji w tłumie mniej lub więcej ważnych sylwet dworu, kleru, dyplomacji i wielu możnych ówczesnego świata feudalnego. Nie małą też rolę odgrywają kobiety w uczuciowem życiu króla, ale bez wpływu na sprawy państwa. Umysł to był twórczy, potężny i śmiały. Wykształcony lekturą arcydzieł literatury klasycznej, greckiej i rzymskiej, pozostał wierny ideałom miłości ojczyzny. Ludwik XIV dążył do pomnożenia dobrobytu Francji, jej siły militarnej i sławy. Szanował prawo i godność ludzką. Nie nadużywał swej władzy w stosunku do swych poddanych, a w stosunku do wrogów był pobłażliwy, wielki. Biograf ukazuje jego działalność w doniosłych zdarzeniach politycznych i w drobiazgach życia codziennego, zgodnie z prawdą historyczną, w sposób tak świetny, że można serdecznie pozazdrościć literaturze francuskiej tego naukowo-literackiego studjum. U nas podobne, pełne głębi psychologicznej portrety królów posiada literatura historyczna zeszłego stulecia. Szajnochy „Jagiełło i Jadwiga“, Bartoszewicza „Anna Jagiellonka“, Smolki „Mieszko Stary“, portrety Królowej Bony Pawińskiego i Jana III-go Korzona, oraz późniejszy „Bolesław Chrobry“ Zakrzewskiego. W naszych czasach lekkością formy i przejrzystością metody pisarskiej zbliżył czytelnikom postacie królów Stanisław Wasylewski biografją Stanisława Augusta. Materjał anegdotyczny, tyczący innych królów leży dotychczas odłogiem.

Przy sposobności omawiania dzieła francuskiego historyka nasuwa się uwaga o innej książce Wydawnictwa Polskiego, mianowicie o efekciarskiej kompilacji pisarza niemieckiego Emila Ludwiga „Napoleon“, w przekładzie L. Staffa. W książce poprzednio omawianej znajduje się spis innych z tej dziedziny książek Wydawnictwa Polskiego, ze skrótami głosów prasy. O utworze Emila Ludwiga wyraził się p. K. Czachowski w „Czasie“, że Ludwig okazał się godnym następcą Plutarcha. Plutarcha? Bagatela! Szkoda, że ten kom-

plement nie jest w żadnej proporcji do fabrykatu żydowskiego szarlatana i plagjatora. Godziło się, aby sprawozdawca przestrzegał więcej miary i zachował „złoty środek". (A. W.)

*

Poznańska „Bibljoteka Laureatów Nobla" stanęła na prawdziwie wysokim poziomie od chwili, gdy jej redagowanie powierzono człowiekowi o wysokiej kulturze i niezawodnym smaku, Stanisławowi Wasylewskiemu (1928). Nie dość bowiem, że zerwano z dawną dorywczością i niedbalstwem w doborze dzieł, ale przedewszystkiem postarano się o to, by każdy tom celował zaletami artystycznemi, a treścią swą kształcił czytelnika. W tej myśli wykluczono od pracy wielu dawnych tłumaczy (np. B. Merwina, Felicję Aum i in.), poprawiono lub powierzono bardziej powołanym tłumaczom tomy, tłumaczone wpierw po dyletancku przez Mirandolę (ostatnio wyszedł zupełnie nowy przekład „Księgi Dżungli"); każdy zaś niemal tom poprzedzono przedmową, napisaną przez fachowca-literata, a wprowadzającą czytelników w krąg twórczości danego pisarza. (Warto nadmienić, że chwalebny zwyczaj wydawania książek z przedmowami znalazł obecnie rozpowszechnienie, głównie dzięki życzeniu samych czytelników).

Wielkiego uznania jest godzien ostatni (77) tom „Bibljoteki", mieszczący garść nowel Tomasza Manna pod ogólnym tytułem „Pan i pies". Wiadomo, że dotychczasowe przekłady dzieł Manna (zwłaszcza „Góry czarodziejskiej") roiły się od błędów rzeczowych i językowych. Prawdziwym przeto nietylko wypoczynkiem ale i radością jest lektura „Pana i psa" w przekładzie L. Staffa, który bogactwem słownictwa, umiejętnością cieniowania myśli, a nadewszystkiem melodją frazy rytmicznej zdania, bodaj że góruje nad oryginałem. Przedmowa, pióra Wasylewskiego, ma przy swej feljetonowej lekkości cechę prawdziwie naukowej rozwagi. Oparłszy się na wyznaniach samego autora „Buddenbroków", przedmówca metodą punktacyjną wskazuje na główne czynniki jego twórczości, podkreślając zwłaszcza rolę elementu rasowego. Choć bowiem w dziełach Manna znajdzie się czasem jakiś frazes o „nordyzmie" (może mający raczej znaczenie pół-ironiczne), to jednak nie bez znaczenia jest fakt, że matką pisarza była kreolka. Słusznie więc zaznacza Wasylewski, że jedna z najlepszych rzeczy Mannowskich „Tonio Kröger" jest nietylko kluczem do poznania biografji pisarza, ale zarazem wyjaśnia wiele nie-germańskich elementów w jego twórczości. Oprócz „Tonia" i noweli tytułowej warta jest czytania nowela końcowa, w której autor w sposób prawie satyryczny kreśli obrazek z życia średnich warstw społeczeństwa niemieckiego, zaskoczonego stosunkami powojennemi. (B)

*

P. Omer Neveux dostał się w czasie wojny do niewoli niemieckiej i został wysłany do obozu jeńców pod Gnieznem. Po wojnie pozostał w Polsce i zamieszkał w Poznaniu. Przed kilkoma laty wydał po francusku opowieść, osnutą na polskich doświadczeniach i przeżyciach i nosząca tytuł „*Une idylle au Dworek*". Rzecz ta ukazała się obecnie w polskiem przekładzie Z. Chrzanowskiej w wydawnictwie „Eos" w Poznaniu p. t. „Idylla w Białym Dworze". Opowieść, wysnuta z fantazji, daje autorowi okazję do opisów przyrody polskiej, do odmalowania stosunków naszych i do wypowiedzenia swych opinij i spostrzeżeń. Czy to jednak będą obrazki z życia Wielkopolski, czy wrażenia z Litwy, czy opisy Zakopanego, widzi się dokładnie, że mamy przed sobą przeżycia autora, który zna Polskę dobrze i niezgorzej ją rozumie. Nie są to właściwości często spotykane u pisarzy obcych. Stwierdzić też należy, że „Idylla" p. Neveux napisana jest dobrze i interesująco. (N.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W swojej książce „*Eglise et la Paix*" (*Flammarion édit.*), ojciec Yves de la Brière, profesor paryskiego Instytutu katolickiego, poruszył zagadnienie palące: stanowisko Kościoła wobec problematów pokojowych.

Wszystkim wiadomo, jak dalece Kościół te teorje popiera. Można tu przypomnieć sławne powiedzenie papieża, kiedy w chwili wybuchu wojny, ambasador monarchji austro-węgerskiej udał się do Watykanu, celem uzyskania od Ojca Św. specjalnego błogosławieństwa dla wojsk Franciszka-Józefa. Na tę prośbę Papież miał mu podobno wymijająco odpowiedzieć: *Benedetto la pace!*

Ojciec de la Brière wyraźnie jednak podkreśla, że dzieło pokoju, propagowane przez Kościół, nie jest bynajmniej „pacyfizmem sentymentalnym, zagmatwanym i bez rozeznania". Teorje Kościoła pozostają w harmonji z pojęciem patrjotyzmu. Ojczyźnie bowiem należy służyć. Trzeba jednak pogodzić tę supremację interesów narodowych ze sprawiedliwością i miłosierdziem, jakie należy żywić wobec swych bliźnich,—innych ojczyzn. Inaczej mówiąc, Kościół opowiada się naturalnie za spokojem międzynarodowym, ale ze specjalnem poszanowaniem patrjotyzmu narodowego. Pokój ma być bowiem „*une tranquillité dans l'ordre*", jak powiedział św. Augustyn. Niestety jednak nie tej teorji chrześcijańskiego pokoju, uwzględniającego postulaty narodowe, hołdują różni przedstawiciele międzynarodowego pacyfizmu". (J. B).

*

Znana (również i w Polsce, jako wielka jej przyjaciółka) poetka i powieściopisarka hiszpańska Sofia Casanova, odznaczająca się subtelnością uczuć i głęboką znajomością życia, ogłosiła ostatnio książkę p. t. „*Idilio epistolar*". Użyta tu forma epistolarna, ze względu na swe powinowactwo z dramatycznością, odpowiadała najbardziej idei zasadniczej tego utworu. Chodziło to o uwydatnienie przeżyć duchowych dwojga istot, przebywających zdala od siebie, oraz cech wzajemnie przyciągających. Analiza strony czysto duchowej bohaterów utworu tem stała się głębsza. Świetna obserwacja, której nie można odmówić autorce, czyni książkę wierną pod względem psychologicznym. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

SPRAWA pomnika Mickiewicza w Wilnie ciągnie się dosyć długo. Na pierwszym konkursie I-szą nagrodę przyznano projektowi St. Szukalskiego. Mimo to projekt Szukalskiego nie został zrealizowany, gdyż to samo *jury*, nagradzając pracę, zarzuciło jej również „egzotyczność architektury, niedopasowanej do Wilna". Możnaby się spierać o słuszność takiego stanowiska, które doprowadza do odrzucenia dzieła niewątpliwie potężnego, o koncepcji głębokiej i trafnej, tylko ze względu na pewien nalot egzotyzmu, my spróbujmy jednak rozpatrzeć sprawę z innego punktu widzenia. Gdyby sąd konkursowy odsunął projekt bardzo dobry, w tej nadziei, że znajdzie, nagrodzi i przeznaczy do wykonania jeszcze lepszy, wszystko byłoby w porządku. Chęć uczczenia największego poety nadoskonalszem dziełem rzeźbiarskiem nikogo nie zdziwi i nigdy, w takim wypadku, wymagania sędziów nie wydadzą się zbyt surowe. Odrzucając pracę Szukalskiego czynniki decydujące w tej sprawie tem samem nakazały sobie wybranie dzieła o jeszcze wyższym poziomie. W naszem rozumieniu autor jego winien posiadać pozatem choć którąkolwiek z trzech następujących własności: 1) talent o znamionach wybitnie polskich, 2) rodzaj talentu, będący odpowiednikiem w plastyce rodzaju genjuszu poetyckiego Mickiewicza (rodzaju, nie poziomu), 3) w braku tych dwu pierwszych cech, przynajmniej talent tęgi i męski, godny tematu i rodzaju dzieła (pomnik).

Tymczasem, jak się okazało, odbył się drugi konkurs zamknięty (widocznie tylko wybrani mają prawo czcić tego, który pisał dla wszystkich) i przeznaczono do wykonania projekt Henryka Kuny. Zanim zestawimy go z dziełem Szukalskiego, sprawdźmy, czy odpowiada któremukolwiek z trzech wymienionych przez nas warunków? Polskość talentu Kuny? Zdarza się nieraz, iż twórczość artysty-Polaka nosi znamiona rasowo obce, sztuki niemieckiej, francuskiej i t. d. można więc wyobrazić sobie możliwość odwrotną: sztuka żyda przez długie obcowanie z kulturą polską uległa jej wpływom. W tym wypadku tak jednak nie jest. Rzeźby Kuny niewiele mówią nawet o narodzie, do którego artysta należy. Teraz punkt drugi: rodzaj talentu. Żeby nas nie posądzono przypadkiem o stronność, posłuchajmy—zamiast sami pisać—co mówi o Kunie jego współziomek p. Wallis: „Kuna—refleksja, opanowanie, pogoda, statyka. Kuna jest kameralny. Kuna—

delikatne, ciche, łagodne poruszenia duszy". Czy taki był Mickiewicz jako poeta? Punkt trzeci. Ten sam p. Wallis pisze: „Kuna jest miękki, pieściwy, kobiecy, joński". Kropka. Wystarczy. Żeby wyczerpać wszystkie możliwości, przypuśćmy jeszcze,że Kuna raptem się zmienił i zaskoczył wszystkich niespodzianką, ukazując w omawianym projekcie nowe i nieznane dotychczas właściwości swego talentu. Nic podobnego się nie stało. Pomnik, charakterystyczny dla sztuki artysty, jest *nota bene* słabszy od innych jego prac.[1]) Nie możemy jakoś doszukać się oryginalności w jego koncepcji, tak nam suggerowanej przez część krytyki. Że Mickiewicz nie jest w surducie? Owa! Wielka mi rewelacja. Patrzy w górę (poeta przecież), w ręku książka. Nie, nie przemawia nam do przekonania ten eunuch o wygolonej pasze, w szlafroku i sandałach. Mickiewicz Bourdelle'a w Paryżu jest pielgrzymem, który idzie do Polski, ale gdzie idzie Miczkiewicz Kuny w P o l s c e? Całość w bryle poprawna, w bryle, alfie i omedze dzisiejszej rzeźby, ale na Boga, Mickiewicz to nie bryła!

Przeciwni pomnikowi Kuny, nie upieramy się specjalnie przy Szkukalskim, chcemy tylko słusznego załatwienia sprawy, a nie ubijania jej na gorąco, póki się ludzie nie zorjentują. W świetle dyskusji, która powinna się rozpocząć, okaże się, iż pragnienie, aby Wielkiemu Polakowi—Polak wystawił pomnik, niewiele ma wspólnego z antysemityzmem.

WIKTOR PODOSKI

---

[1]) Wiele dzieł p. Kuny podoba mi się i nie mam również najmniejszych powodów nie szanować go jako człowieka. Stwierdzam to rozmyślnie, gdyż u nas, ze złą wolą, walkę o coś utożsamia się z walką przeciwko komuś. Sprawę z badania słuszności cudzych argumentów sprowadza się poprostu do: Ciekawe co on w tem ma?

TEATR

„POPROSTU TRUTEŃ"

W TEATRZE Małym wystawiono tak zatytułowaną komedję Brunona Winawera.

Pomimo całej pogardy, jaką Bruno Winawer manifestuje ustami swoich bohaterów komedjowych dla wszystkiego, co nie jest wiedzą ścisłą, publiczność wychodząc z teatru nie ma wrażenia, że wieczór został zmarnowany, aczkolwiek — bądź co bądź — nie spędziła go w audytorjum uniwersyteckiem. A jednak — myślimy sobie — sztuka (nawet przez małe s) — musi widocznie także być coś warta, skoro autor „Poprostu trutnia", fanatyczny wielbiciel Einsteina, zamiast pracować naukowo, bawi się pisaniem komedyjek. Nikt nam nie zdoła wmówić, że Winawer bywa literatem tylko dla zarobku, żeby mieć za co pracować nad odkryciami fizycznemi, która to praca — według niego — zdaje się być jedynem zajęciem nie hańbiącem.

„Poprostu truteń" jest komedją bardzo zabawną i doskonale zmajstrowaną. Autor pastwi się w niej nad niejakim Żykiem, niebieskim ptaszkiem salonowym, który żyje na stopę szeroką, naciągając bliźnich na pieniądze. Jegomość ów wpadł na pomysł eksploatowania rudy radowej pod Drohobyczem. Zawiązuje na poczekaniu towarzystwo akcyjne i wkręca skarbowi państwa pięćdziesiąt pięć procent akcyj. Prasa idzie mu na rękę i robi przedsiębiorstwu reklamę, rząd gotów jest wypłacić zaliczkę. Na szczęście raport rzeczoznawcy, rojący się od naukowych nonsensów wpadł w ręce woźnego, fachowego geologa, który w Polsce nie mógł znaleźć innego zarobku.

Mniejsza o szczegóły tej anegdoty. Grunt w tem, że została świetnie uinscenizowana. Maszyński, Kamińska, Munclingrowa, Bogusiński, Mierzejewski, Ola Leszczyńska, nadewszystko zaś Zelwerowicz w roli przedstawiciela sfer rządowych — zbierali rzęsiste oklaski. Najwięcej oklasków padło pod adresem samego autora.

ZASTĘPCA

OFENSYWA

„RASIZM"

ZWIĄZEK lekarzy narodowo-socjalistycznych w Niemczech ($^1/_5$-ta lekarzy całej Rzeszy) na zjeździe w lutym, odbytym w Lipsku, powziął cały szereg rezolucyj, które na pierwszy rzut oka nam, t j. Polakom, mieszkającym w Warszawie, już półżydowskiem mieście, mogą wydać się jakby „z nieprawdziwego zdarzenia", jakby śmieszne:

„Każdy Niemiec pełnoletni obowiązany jest pod przysięgą złożyć przed władzami zeznanie, do jakiej rasy należy. Fałszywe zeznania karane mają być więzieniem i konfiskatą majątku.

Obywatele, uchylający się od złożenia deklaracji, zaliczeni będą do żydów i odpowiednio traktowani.

Za obcokrajowców uważani będą obywatele Niemiec, którzy w rodzinie swej mają obcokrajowców, względnie osoby, należące do „rasy wschodniej". Celem utrzymania czystości „rasy niemieckiej" obywatelom Rzeszy niemieckiej zabronione ma być żenienie się z obywatelkami niemieckiemi, należącemi do innej rasy. Również wszelkie stosunki seksualne między „czystymi" Niemcami, a obywatelami, zaliczonymi do rasy innej, karane mają być ciężkiem więzieniem".

Jednym z dalszych punktów tych rezolucyj jest jeszcze s t e r y l i z a c j a mężczyzn, chorych seksualnie lub też karanych sądownie...

Jeszcze raz zwraca się uwagę na to, że są to uchwały Kongresu Związku, do którego należy jedna piąta lekarzy z całej Rzeszy. Do takich rezolucyj kongres lekarzy doszedł w myśl idej programowych i teoryj zawartych tak w dziełach dwóch uczonych rasologów obozu Hitlerowców, t. j. Rosenberga i prof. z Jeny dr. Hansa Grunthera („*Rassenkunde des deutschen Volkes*", „*Rassenkunde des jüdischen Volkes*") jak, i zapoczątkowanych przedewszystkiem w pryncypalnem dziele szefa obozu Adolfa Hitlera („*Mein Kampf*"), gdzie ten, ścigany dziś klątwami piętnastu miljonów Semitów, *leader* polityczny wypowiedział się między innemi w sposób następujący:

„Państwo ludowe (*das völkische Staat*) winno uznać utrzymanie c z y s t o ś c i r a s y za punkt centralny swych dążeń. Winno ono głosić, iż dziecko jest najcenniejszym skarbem narodu. Winno troszczyć się o to, aby tylko ludzie zdrowi mieli dzieci; wstydem jest, aby chorzy, posiadający różne braki, wydawali na świat potomstwo, w takich wypadkach najwyższym zaszczytem jest wyrzec się dziecka".

Czystość rasy, tym razem rasy niemieckiej, stawiana jest więc na pierwszem miejscu jako ideał, jako kategoryczny imperatyw nowego, skroś nowoczesnego światopoglądu. Nie bagatelizujmy sobie tego, no i przedewszystkiem nie traktujmy tego jako jakiejś „psychozy" i to wyłącznie niemieckiej. Nie tak dawno, jak Ludwik Naudeau, były redaktor „*Tempsa*", w dziele swojem p. t. „*La France se regarde*" tak samo czystość rasową postawił jako pierwszy postulat i pierwszy warunek dalszego rozwoju *de la grande nation*. I pisał w tem dziele francuski publicysta (nic nie mający wspólnego z obozem integralnego nacjonalizmu) między innemi (całkiem po hitlerowsku) co następuje:

„Stawiam jako zasadę, że chcemy trwałości narodu francuskiego w nienaruszalności jego atrybucyj i jego charakteru rasowego. Jeśli jesteście innego zdania, nie czytajcie tej książki. Jeśli mają kiedykolwiek powstać Stany Zjednoczone Europy, to pragnę, aby Francja weszła do nich w całym swym charakterze, a nie jako pień porąbany.

Nie chcę, aby we Francji rozpleniały się inne rasy, a nasza aby zanikała... Pewna ilość ludzi, do obcej należąca rasy, może w społeczeństwie francuskiem dobrze wyglądać, np. Dumas. Inoplemieńców znieść można doskonale, gdy jest ich mała ilość, ale stają się niebezpieczni, gdy się ich widzi na każdym rogu ulicy"...

Tak pisał b. redaktor konserwatywnie liberalnego (protestanckiego) „*Temps*", Francuz, w którego stolicy procent inoplemieńców jest minimalny i to głównie w charakterze gości — turystów, a balast semicki w porównaniu z naszym mikroskopijny. Jakżeż więc czujni i czynni powinni na tym punkcie być dopiero Polacy, u których przemieszanie rasowe z mniejszościami wmieszkanemi (*metoikoi*) doszło do takich granic, że np. książki adresowe, czy telefoniczne pięciu miast największych w Polsce wykazują pono 35—45% nazwisk judosłowiańskich!

To też nie można się dziwić, ale trzeba to podnieść z uznaniem, że nawet publicyście tak radykalnemu jak p. Hulka-Laskowski wyrwało się „trafunkiem“ i to w recenzji z książki... Boya... akurat Boya („Jak skończyć z piekłem kobiet“) na końcu takie charakterystyczne zdanko:

„Człowiek nauczył się hodować rasowe konie, psy i krowy, ale nie dba o wartość własnej rasy“.

Jeżeli tedy tak postępowy i liberalny pisarz konstatuje, do czego u nas doszło w potwornie lekkomyślnem i samobójczem bagatelizowaniu sprawy kultywowania odrębności rasowej, czas chyba wreszcie ocknąć się i u nas i wyjść z reakcyjnego zacofania i zobojętnienia na ten szeroki okrąg zagadnień.

Ćwierć wieku temu rzucił snop światła na ten problem, profetycznie przewidujący i zarówno czujny Wyspiański w „Wyzwoleniu“, w rozmowie Konrada z jedną z masek, potępiając i piętnując małżeństwa mieszane. W zżydziałym już wówczas Krakowie ten ustęp nie wywołał specjalnego entuzjazmu. Konradowe gromy, dziś czytane, dziwnie harmonizują... z „rasizmem“ nie tylko niemieckim, ale i francuskim (Naudeau) i włoskim (Mussolini, Papini, Puccini) i duńskim (Pontopiddan) i hiszpańskim (Benevente).

Wszyscy oni i wielu innych ostrzega, zniechęca i potępia rasową promiskuicję, *melange* małżeński i następstwa tegoż: zwyrodnienie moralne i fizyczne, względnie przeintelektualizowanie w potomstwie, w wielkim procencie inklinacje przestępcze, hyperseksualizm zboczeniowy i wreszcie uwiąd. Szczerym fanatykiem promiskuicji rasowej semicko-sarmackiej był u nas poeta Lange, autor bardzo ciekawej broszury: „O sprzecznościach sprawy żydowskiej“, (r. 1911). Izraelita z pochodzenia, jako program wprost postawił stop dwóch ras dla wytworzenia trzeciej idealnej, to jest i rycerskiej i handlarskiej: asymilacja całkowita pod jednym warunkiem, że „Polacy wyzbędą się egoizmu konfesyjnego“ (czyli wyrzekną katolicyzmu i chrześcijaństwa). Wzamian za to, drugie pokolenie będzie już obdarowane dziedzicznie finansową, spekulacyjną, kalkulacyjną, racjonalistyczną genjalnością Semitów.

W pewnej mierze w kilku miastach (Kraków, Łódź, Warszawa, Będzin i t. p.) program Langego w 60% został już zrealizowany. Tak w Krakowie, jak w Warszawie istnieją już całe klany rodzinne z polskiemi, staremi nazwiskami, w których polskiej pod względem rasowym niema literalnie jednej uncji... krwi: Semisarmaci czy Sarmatosemici.

To też i tej miary wielki uczony, jak prof. J. Czekanowski („Zarys antropologji polskiej“), który gdzieindziej w innym narodzie koło swoich odkryć, hypotez, konstrukcyj myślowych wywołałby wiry i burze polemik i dyskusyj, u nas jest na razie uznany i wysoce ceniony w szczupłem tylko gronie.

Małą też poczytnością cieszy się perjodyk: „Zagadnienia Rasy“, organ „Polskiego Towarzystwa Eugenicznego“ już od 12 lat wychodzący. Indyferentyzm inteligencji w tych wszystkich dziedzinach jest do tego stopnia bezkresny, że np. kwestja tak zwanych: Nordisków i cały ruch Nordyjski, rozpalający kolejno umysły w Ameryce, Anglji, Niemczech, Francji, Szwajcarji do nas dotychczas nie dotarła... Ponieważ nasi eksperci semiccy zadekretowali, że r a s n i e m a (n i e m a b y ć u n a s!) przeto problem rasowości przy wartościowaniu i ocenie zjawisk i ludzi nie wchodzi wogóle w grę. Wśród naszego świata piszącego niema np... Mendelistów... Są t. zw. Freudyki, niema Mendelistów... Nazwiska... prof. Stołyhwy w rozmowach nigdy się nie cytuje.

To też, gdy np. zdarza się czasem jakaś na większą skalę afera literacka, ideowa, głębsza, intelekty podrażniająca, burzę w szklance wody nadwiślańskiej wywołująca, kiedy wrą dysputy i polemiki, wtedy nikt się nie znajdzie, ktoby tej całej burzy promotora względnie turbatora przez moment „naświetlił“ badawczo i pod względem... rasowym. Ma już to opinji wystarczyć, że *champion* nosi takie znane polskie nazwisko jak np. choćby Matuszewski, Jędrzejewicz czy jakiekolwiek inne. Tymczasem to niewystarcza i co więcej to nie tłumaczy genezy zjawiska burzy czy ruchu, jeżeli np. to zjawisko jest destruktywne, antypaństwowe, antynarodowe, antyrodzinne, antyreligijne, antypolskie jak np. ot, choćby sprawa regulacji urodzin, czy... „Ligi Króla Bolesława Śmiałego“ i t. p. Wtedy konieczne jest zastosowanie także kontroli czy lustracji rasowej.

I wtedy często się trafia na tak zwany d w u ż y d z i a n P o l a k a, którego chemiczna formuła wyglądałaby:

H_2P

Względnie H_2S, H_2A czyli Hebraj po kądzieli zaś Aryjczyk, Sarmata Polak po mieczu.

Jeżeli taki H_2P także sam wiąże się małżeńskim węzłem z Semitką rasową (choć nominalnie Polką), wtedy w drugiej połowie życia będzie już najstanowczej ze 100 procentową pewnością

o p t o w a ł n a r z e c z Ż y d ó w

i zostaje potencjalnym, agresywnym Żydem z ducha i z działania, od stu żydów (niewychrzczonych) choćby o niemieckich nazwiskach gorszy, staje się semickiej mniejszości taranem, w więzie i spójnie gromadzkie aryjskiego *collectivum* bijącym. Taki jest najniebezpieczniejszy. „Robocie“ i akcji takiego dwużydziana-Polaka należy przeciwdziałać bez pardonu, demaskować go na każdym kroku, rozbrajać i rozbroić.

Uchwały lekarzy niemieckich w Lipsku (stanowiących jedną piątą część lekarzy z całej Rzeszy) nie są tedy tak „głupie“, „barbarzyńskie“, „reakcyjne“, jakby się to warszawskim dwużydzianom Polaka, mechesom i metekom mogło wydawać. To jest *auch ein Standpunkt.* W tem jest też cząstka przyszłości nadchodzącej!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Poeta klubu B. B. w Senacie, sen. Perzyński, referując ustawę o zmianie kapituły orderu Orła Białego, w odpowiedzi na pytanie opozycji: „Czy panowie nie macie większego kłopotu?“ — odrzekł z emfazą:

— „Państwo, to wielka maszyna. Ale może się zdarzyć, że nieprzykręcenie jednej drobnej śrubki unieruchomi całą maszynę“.

Sanatorzy są bardzo subtelni. Wszystko idzie w państwie, jak w zegarku, a jednak ciągle „kręcą“. Podczas ubiegłej sesji budżetowej kręcili 192 śrubki, a na resztę śrubek wydali pełnomocnictwa rządowi. Najwięcej roboty było ze śrubkami podatkowemi...

Co ma do gadania opozycja? Ona wyraża tylko wątpliwość, czy sanatorzy kręcą śrubki we właściwym kierunku. Kręcić nie sztuka, ale trzeba wiedzieć, w którą stronę i w jakiej mierze.

*

Wychowanie państwowe w systemie sanacyjnym ma na względzie przedewszystkiem kulturę artystyczną obywateli w zakresie: malarstwa (portret), rzeźby (posągi), śpiewu i muzyki orkiestralnej (pierwsza brygada), poezji i wymowy (legenda i panegiryki) i t. d. i t. d. Tylko sztuka stosowana, przez uszlachetnianie stylu, podnieść może obywateli na wyżyny duchowe ponad kryzysy materjalne i moralne.

*

Poprzedni zeszyt „Myśli Narodowej“ uległ z polecenia Komisarjatu Rządu konfiskacie. Kłopoty z tem związane nie odebrały nam zdolności objektywnej oceny niewątpliwych dobrych stron wymienionego faktu. Weszło już w zwyczaj, że corocznie konfiskowany bywa zeszyt z t r z e c i e g o t y g o d n i a m a r c a. Jako tradycjonaliści z zasady, musimy mieć *malgré tout* pewną sympatję do wszystkiego, co zaczyna tchnąć pewną regularnością, co jest o tyle o ile obliczalne i daje się przewidzieć, co w pewnym przynajmniej stopniu poczyna nabierać charakteru — instytucji...

A przytem, perjodyczne wzmożenie nasilenia konfiskat prasowych w tej właśnie dacie, nadaje temu momentowi w roku jakgdyby jakiś niecodzienny, jakiś bardziej uroczysty charakter...

*

— Co ma archeolog do skarbu?

— Zajmując się wykopaliskami, ma szanse odkrycia skarbu.

Wszystkim prenumeratorom, czytelnikom i przyjaciołom

„MYŚLI NARODOWEJ“

przesyłamy tradycyjne życzenia

„Wesołych Świąt“.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.